

# *Sekrety Lalanii*



**EWA CZERWIŃSKA**

*Sekrety Lalanii*

**Ilustracje**

**AGNIESZKA I PRZEMYSŁAW SURMOWIE**

**NORBERTINUM  
Lublin 2005**

© Copyright by Ewa Czerwińska, 2005

Projekt okładki  
*Konrad Kućmiński*

Opracowanie redakcyjne  
*Barbara i Roman Habarta*

Na okładce ilustracja A. i P. Surmów

ISBN 83-7222-244-4

**Czterysta czterdziesty czwarty tytuł *Norbertinum***

Norbertinum  
Wydawnictwo–Drukarnia–Księgarnia Sp. z o.o.  
ul. Długa 5, 20-346 Lublin  
tel. (81) 744 11 58, fax (81) 744 11 48  
[www.norbertinum.com.pl](http://www.norbertinum.com.pl) [norbertinum@norbertinum.com.pl](mailto:norbertinum@norbertinum.com.pl)



## Witajcie w Lalanii!

Zaczynało świtać, kiedy sadem wstrząsnął huk. Lalinek zakopany po uszy w kiści bzu obudził się. „Co się dzieje?” – pomyślał i ziewnął szeroko. Kiść pachniała tak odurzająco, że zamierzał zanurkować jeszcze przynajmniej na chwilę pod lilakołdrę. Był śpiochem. Ale nic z tego. Huk powtórzył się i teraz brzmiał jak setki fajerwerków. „Ojej, dziś jest przecież dzień narodzin!” – oprzytomniał Lalinek i zerwał się na równe nogi. Rzeczywiście. W zaspanym jeszcze sadzie rozwijały się z hukiem pąki kwiatów, z których wypadały prosto w objęcia rodziców małe Lalinki. Lalinek z kiści bzu zdążył już obejrzeć kilka takich zjeżdżalni na świat. Całkiem niedawno sam wylądował w podobny sposób.

Kiedy rosa opadła, cały sad już trząśł się od śmiechu. Trzeba wam wiedzieć, że Lalinki są dziećmi radości. Ich rodzice mówią do nich: „skarbie” albo „kochany smyku”, i otulają płatkami kwiatów na dobranoc. Huśtają na giętkich gałązkach jaśminu, a na długich, podłużnych liściach irysa urządzą im ślizgawki. Róże wykorzystują do lekcji wspinaczki. Jak? To proste. Maluchy zarzucają na różane kolce pędy powoju i uczą się wdrapywać na szczyt. Zwykle rano możecie usłyszeć w ogrodzie chichot. Musicie tylko zachowywać się dyskretnie, żeby nie przstraszyć jakiegoś Lalinka. Ale nie mogę wam przyrzec, że każdy z was go usłyszy.

Pierwsze tygodnie życia schodzą Lalinkom na zabawach. I tak jest wszędzie: w każdym ogrodzie, sadzie, lesie, łące, pod każdym kwitnącym krzewem czy najdrobniejszym nawet ziółkiem, które wypuszcza nikły bodaj pączek. Nawet na miejskim trawniku. Bo państwo Lalinków, zwane Lalanią, jest wszędzie. Na całej kuli ziemskiej. Rozciąga się od jednego oceanu do drugiego i od jednej krainy lodu do drugiej.

Możecie się więc domyśleć, że Lalinki to naród wszędobylski i bardzo liczny. Każdej wiosny wysypuje się lalinkowych niemowlaków bez liku, z każdego kwitnącego krzewu i drzewa. Nawet w spalonej żarem Afryce. Nie wierzycie? Kiedy sawanna napije się do woli deszczu, potrafi utkać swoim Lalinkom wielkie zielone dywany. Lalinki urodzone w Afryce wyglądają tak, jakby wykąpały się w czarnym tuszu, te wylulane w kraju kwitnącej wiśni mają skośne oczy, a te z krainy Kondora – płomienny odcień skóry. Wszystkie są wobec siebie przyjacielskie. Odwiedzają się wzajemnie – goszczą na chrzcinach, ślubach, urodzinach i ostatnich pożegnaniach.

Nie mają armii, nie potrzebują bronić granic, bo granic Lalania nie ma. Z sąsiadami żyją w zgodzie. Są lekkie jak puch, dlatego nikomu nie wadzą. Nie uskarżają się na nich Mrówki, bo nie rujnują im mrowisk, ani Krety, bo nie zasypują podziemnych labiryntów, ani Kuropatwy, bo Lalinki nie mają zwyczaju napadać na gniazda kwok oczekujących potomstwa i nie tłuką jaj. Nawet Pająki są wobec nich nastawione pokojowo i nie polują na nich jak na Muchy. Ba, pozwalają nawet polulać się niejednemu rozrabiace w swoim hamaku.

Lalania jest świetnie zorganizowana. Nad spokojem życia obywateli czuwa rząd, złożony z ministerstw. Jest Ministerstwo Owocnej Pracy, Ministerstwo Spokojnej Drzemki, Ministerstwo Bursztynowego Nektaru – bo to nektar jest głównym przysmakiem Lalinków, Ministerstwo Dobrego Apetytu, Ministerstwo Wymiany Myśli oraz Ministerstwo Przekuwania Szarego na Złote. Ministrowie zbierają się raz w miesiącu, zawsze w innym miejscu świata, żeby było sprawiedliwie. Ostatnio, jak mi wiadomo, radzili pod którąś z egipskich piramid.

Czy jesteście ciekawi, jak wyglądają takie obrady? Jeśli tak, to posłuchajcie. Ministrowie oraz ich sekretarze, sekretarze sekretarzy oraz

liczni asystenci płci obojga ubrani w kolorowe kołnierze – to znak ministerialnej godności – rozpoczynają obrady odśpiewaniem hymnu Lalanii. Pieśń zaczyna się tak: „La-la-li-la-lu-la, niech żyje Lalania ma”. Potem już rozważają, dyskutują, no i trochę się kłóca, bo przecież każdy Lalinek w kołnierzu chce mieć rację.

Pośrodku zgromadzenia stoi waga państwowa. To nie jest zwykła waga, o jakiej myślicie. To waga szczególna. Na nią w ostateczności rzucają ministrowie problemy, których zwyczajnie rozwiązać się nie da.

Jeśli więc zgromadzenie na przykład nie może ustalić:

- ☼ czy należy liczyć Jaskółki odlatujące do ciepłych krajów lub
- ☼ kiedy wyjmować Słoniom kolce z nóg, lub
- ☼ jak ostrzegać Gęsięta przed Jastrzębiem, lub
- ☼ gdzie rozpocząć badania nad językiem Delfinów, lub
- ☼ w jaki sposób wspomagać budownictwo mrowisk, lub
- ☼ jak poradzić sobie z Wężami, które terroryzują małe Króliki, lub
- ☼ czy wdrapywać się do nieba, na pierzaste chmury i strzepywać deszcz na spragnione afrykańskie wioski, lub
- ☼ w jaki sposób ratować ślepe Kociaki przed utopieniem w beczce wody i Psy, które Ludzie przywiązują do drzew w głuchym lesie, kiedy już ich nie potrzebują, lub
- ☼ czy w ogóle mieszać się do życia Człowieka

– to wtedy Pierwszy Minister kładzie problem na wadze państwowej. Gdy jedna z jej szal opadnie wystarczająco nisko, zagadnienie nabiera najwyższego państwowego znaczenia i trzeba je bez gadania wcielić w życie.

Lalinki – podkreślmy – nie kwapią się wchodzić do Kraju Człowieka. Lalania ma tam jednak swoich zwiadowców. Zwiadowcy wybierani są spośród najbardziej wykształconych i ciekawskich Lalinków. Wybrańcy muszą jeszcze zdobyć kilka ważnych umiejętności. Po pierwsze – nauczyć się ludzkiego języka. Po drugie – mieć się na baczności przed kłamczuchami. Ludzie często co innego myślą, a co innego mówią. Dlatego każdy zwiadowca nosi ze sobą paperek lakmusowy, który pełni rolę wykrywacza kłamstw: kiedy ktoś łże – zmienia kolor na granatowy.

Po trzecie – trzymać palec na pulsie. Umiejętność nieodzowna, bo Człowiek ma często głupie pomysły, które powodują, że krew szybciej krąży mu w żyłach, a to znaczy, że w ludzkiej głowie roi się coś niebezpiecznego.

Tego dnia, kiedy ministerstwa usadowiły się wraz ze swoimi biurami pod piramidą, rozważano problem młodzieży.

– La! – poprosił o głos przedstawiciel Ministerstwa Wymiany Myśli. Miał długą, srebrną brodę, za to na głowie ani jednego włoska. Kiedy się emocjonował, jego broda powiewała niczym pęk suchych traw na wietrze.



– Nasze małe Lalinki są przyszłością Lalanii, czyż nie tak? La! Jestem, szanowni panowie ministrowie, za tym, żeby znacznie dłużej niż obecnie nasza młodzież nabierała rozumu.

– Lllla! – wtrącił się cicho chudy jak tyka szef Ministerstwa Przekuwania Szarego na Złote.

Miał podkrążone oczy od ciągłego ślepienia nad długimi zwojami zapisanymi rzędami cyfr. Liczył dochody państwa. Przesiadanie sam na sam z wyższą matematyką przez długie godziny spowodowało, że minister zapominał, jak się mówi. Jąkał się, jakby nie dowierzając, że z jego nieczynnego przeważnie gardła w ogóle może dochodzić jakiś dźwięk.

– Ttto niemożliwe. A kto będzie ppracował w naszych roz- roz- rozlewniach nektaru, pucował liście palm, karmił osierocone pppiskłeta, śścigał przestępcze grupy Srok, handlował z dostarczycielami towarów? No kto? – denerwował się.

– Nie pozwolimy dręczyć naszych dzieci długą i ciężką nauką! – z załomu piramidy, gdzie siedzieli obserwatorzy, dotarły głosy protestu – Wystarczy im tej mądrości!

Musicie wiedzieć, że Lalinki rosną jak na drożdżach i już po kilku tygodniach beztróskich figłów pod okiem rodziców rozpoczynają poważne zgłębianie Mądrej Księgi Lalinków. Księga, której najstarszy egzemplarz, spisany przez znanego Laliterata, leży w muzeum, opowiada historię narodu od czasów Pralalinka. Zapewniam was, że czyta się ją



z wypiekami na twarzy. Bo cóż się tam nie dzieje?! Otóż w pierwszych rozdziałach Ziemia pęka, kruszy się, jej kawałki raz się rozdzielają, a raz łączą, że trudno się połapać w tym wielkim kotle zmian. Góry pękają, a z samego brzucha Ziemi wylewa się gorąca lawa. Znow innym razem Ziemia jest wielką krą, a potem znow podtapia ją głęboka woda. Raz jest ciepło, raz lodowato. Zanim ziemską kula ulepi się, jak trzeba, przypomina wielki garnek, w którym gotują się lądy i morza, góry i doliny; źródła szukają miejsca, gdzie mogą wytrysnąć, rzeki chcą wyżłobić sobie koryta.

Jak się domyślicie, Pralalinki nie miały w owym czasie lekkiego życia. Mieszkały na szczytach wzgórz, z dala od stad dinozaurów. Tak nazywały wielkie okazy zwierząt z dziobami jak koparki, którymi dziś posługuje się Człowiek, i zwałistych potworów z kolczastymi ogonami... Lalinki przetrwały ten zamęt dzięki cierpliwości i chęci do życia. A z rozlicznych doświadczeń wielu pokoleń wyciągały wnioski, które nawlekały na nic pamięci, snującą się zresztą do dziś.

Każdy mały Lalinek zgłębia tę księgę. Zazwyczaj stęka nad nią niecierpliwie przez długie miesiące, ziewa, myśląc o niebieskich migdałach, bo księga jest gruba i wymaga skupienia. Uczy, że warto trwać i dobrze mieć serce dla innych. Ale cóż wam będę opowiadać... Sami ją przeczytajcie. Jeśli oczywiście wpadnie wam kiedyś w ręce.

Ale wracajmy pod piramidę.

– Nie chcemy męczyć naszych Lalinków długą nauką! – protestowali głośno przedstawiciele społeczeństwa usadowieni w załomie piramidy. W ministerialnych ławach także zrobiło się gwarno.

– La! La! – uciszał zgromadzenie Pierwszy Minister, a kiedy to nie pomogło, chwycił za nogę przelatującego właśnie Nietoperza, który ze strachu wydał z siebie przeraźliwy pisk.

Pomogło. Publika uciszyła się tak, że słychać było, jak chmary Ciem trzepocą skrzydłami. Mrok zapadał nieubłaganie.

– La! Czy przypadkiem nie wychowujemy naszych Lalinków pod kloszem, oszczędzając im pouczających przygód? – kontynuował



przedstawiciel Ministerstwa Wymiany Myśli. Cierpliwie przeczesywał brodę palcami czekając, aż zgromadzenie się wyszumi.

– A czy to dziwne, że każdy broni swoje dziecko przed przykrościami? – doleciał z załomu głos jakiejś Lalinkowej matki.

– Nie, jak kocham wszystkie lamuchy! To jest, chciałem powiedzieć... maluchy! – poprawił się brodaty. – Kto tu mówi o przykrościach! Ja mówię o poznawaniu świata. Pamiętajcie, co napisano w naszej Mądrej Księdze? „Nie ustawaj w poszukiwaniu, a znajdziesz to, czego szukasz.” Czyż nie tak? Trzeba więc, żebyśmy dokładniej przyjrzeni się Krajowi Człowieka. Nie bali się go. Przez to rozszerzyli własne horyzonty, bo, jak wiecie, już od dawna nie przedłużaliśmy naszej nici pamięci o nowe mądrości. Najwyższy czas, żeby młodzież zabrała się do roboty. Postuluję więc, aby każdy młody Lalinek wyruszył na poszukiwanie swojego ... – zawahał się przez chwilę, zastanawiając się, jak nazwać to ważne zadanie. – Na poszukiwanie – powtórzył już pewnie – KLUCZA DO SPRAWY.

– KLUCZA DO SPRAWY!... – jęknęło z wrażenia zgromadzenie, bo o czymś takim nikt w państwie Lalinków jeszcze nie słyszał.

– A co to jest? – zapiszczał cichutko ktoś z publiczności.

Ministrowie zrobili mądre miny. Jeden zmarszczył czoło, jak przystało na mędrca, inny złapał się za głowę i tak znieruchomiał na kilka minut. A sekretarze otworzyli słowniki i zaczęli je wertować szukając hasła: KLUCZ DO SPRAWY. Bezskutecznie.

Tego wieczoru w kularach tętniło od domysłów, co to wszystko ma znaczyć. Ktoś szeptał, że nawet sam minister wymiany myśli bije się z myślami co do KLUCZA. Bo przecież nie chodziło o zwykły klucz. To by było zbyt proste.

Waga państwowa potwierdziła doniosłość zadania, jakie wszystkie ministerstwa zgodnie postawiły przed najmłodszym pokoleniem Lalinków: jej szala aż usiadła na piachu. Nazajutrz lalinkowe gazety na całym świecie cytowały wypowiedź ministra wymiany myśli o wielkim zadaniu czekającym każdego dorastającego mieszkańca Lalanii.

Lalinek z kiści bzu nie wiedział jeszcze, co go czeka.

## W drogę



Słońce osuszało już ostatnie krople rosy na roślinach w sadzie. Pod ocieżałą od kwiecia piwonią rodzina Lalinków kończyła śniadanie.

– No to, synku, za dobrą drogę – wznosił toast kielichem nektaru pan Lalinek. Miał spory brzuch i łagodnie przymrużone oczy.

– I żebyś znalazł ten KLUCZ – dodała pani Lalinkowa, odgarniając z czoła Lalinka niesfornie spadający lok.

Odwróciła się, żeby nie było widać wzruszenia w jej oczach. Bardzo przeżywała pierwszą tak daleką wyprawę syna. Podobne sceny można było zobaczyć w wielu domach. Pani Lalinkowa zapakowała do plecaka z pąka lwiej paszczy odrobinę domowego nektaru na drogę. Została pod bzem, żeby się nie rozplakać. Ale i stamtąd długo machała synowi listkiem koniczyny. Pan Lalinek odprowadził jedynaka aż za jaśminową polanę.

Młody poszukiwacz kroczył śmiało przed siebie, pełen ufności, że wróci do domu z własnym KLUCZEM DO SPRAWY. Czuł w sobie narastającą odwagę. Drżał z podniecenia na myśl o tym, co może go spotkać za sadem. Przyszłość rysowała się tajemniczo i to było fascynujące. Nigdy przecież nie wyprawiał się dalej niż do wysokiego parkanu, koło którego urzędował Kudłaty.

Kudłaty był mieszańcem, a takie osobniki są najlepszymi stróżami parkanów, bram i domów Człowieka. Lalinek trzymał się z daleka od

jego terenu, choć Kudłaty nie wyglądał na zgryźliwca. Teraz musiał koło niego przejść.

– Raz–dwa, raz–dwa – doleciało go gdzieś z okolic psiego ogona. Zobaczył Pchłę. Ćwiczyła aerobik. Talia grubości włosa kręciła kółka, a ledwie widzialne nogi rysowały esy-floresy. W sadzie mówiło się o Pchle, że zwariowała na punkcie swojej figury. Wciąż się odchudzała.

– Hej, mały! – zaczepiła Lalinka piskliwym sopranem. Chciała odsapnąć i jednocześnie z kimś pogadać. Oparła się o łan kudłów, które rosły na sprężystym ogonie Kudłatego. Niespodziewanie Kudłaty ruszył ogonem i Pchła wyleciała w górę jak z katapuły.

– Gdzie idziesz? – wysapała wynurzając się po chwili z gęstwiny. Lalinek nie widział jeszcze takiego skaczącego chuchra.

– Nie czytała pani gazet? – zdziwił się uprzejmie, myśląc w duchu, że przecież on i rzesze jego rówieśników to bohaterowie, o których powinien mówić cały świat. – Idę po KLUCZ DO SPRAWY – wyjaśnił z powagą cel swej misji.

– A co to takiego? – zapytała zdziwiona.

Od urodzenia nie wychylała nosa poza dżunglę rosnącą na ciele Kudłatego, gdzie przyszło jej żyć wraz z liczną rodziną. Do głowy by jej nie przyszło opuszczać, choćby na krótko, tę dobrze znaną, ciepłą wyspę, a co dopiero mówić o jakiejś wyprawie w świat. Nigdy. Wyznawała zasadę, że w życiu najważniejsza jest wygoda. Domowe ciepłko. Żadnych stresów.

– Wie pani... – zająknął się Lalinek – KLUCZ DO SPRAWY to... to KLUCZ DO SPRAWY! – wybrnął, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

Ale Pchły to już nie obchodziło. Wróciła do swojej gimnastyki.

Za parkanem świat posiwiął. Rozpruł się ołowiany bałwan na niebie i lunął deszcz. Krople spadały tak wielkie, że Lalinek musiał uciekać przed nimi jak przed pociskami. Spadając te wodne kule wzniecały fontanny, które z kolei rozpadały się w miliony mikroskopijnych kropel. Lalinek przemókł do nitki, ale był w dobrym humorze. Pani Lalinkowa często powtarzała, że Lalinki najszybciej rosną po deszczu.

Wkrótce niebo znów pokrył błękit, a na nim – między ostatnimi strugami wody a wiązką słonecznych promieni – zarysowała się tęcza. Wdzieliście tęczę, prawda? Kilka kolorów łączy się we wstążkę, która ozdabia niebieski szal. Lalinek podskoczył w górę i złapał się kolorowego brzegu. Spróbował pomajtać szalem, żeby sprawdzić jego wytrzymałość, ale on był jak maźnięcie akwarelą: rozpląwał się w rękach.

Kiedy Lalinek wyszedł w końcu zza wzgórza, zobaczył coś zupełnie innego niż jego spokojny sad. Była to jazgotliwa autostrada z poruszającymi się na niej wielkimi bestiami. Bestie pędziły przed siebie jak oszalałe – każda chciała w tym wyścigu wyprzedzić drugą. Lalinek usiadł za koszem na śmieci; myślał, jak się przeprowić na drugą stronę. Po koszu spacerowała tłusta Mucha.

– Tsssy, cccy... – cmokała, wycierając się po sutym obiedzie, złożonym z resztek przyklejonych do opakowań. Zauważyła Lalinka. – I co tak się boi?... – wymruczała taksując go z góry. Była najedzona i tylko to obroniło Lalinka przed dotykiem jej czulek.

Siedział w cieniu kosza i wyglądał na przegranego. Właściwie nie bał się muchy. Bał się autostrady, która wydawała się polem bitwy. Zupełnie nie do przebycia.

– Jakoś nie widziałam cię tu nigdy. Uciekliśmy z domu, co? – Mucha przesłuchiwała cierpliwie, przyglądając mu się z bliska.

O Lalinkach wiedziała tyle, że to przyzwoity narodek, ale składający się przeważnie z gap i pieszczochów kompletnie nie znających życia. Cuchnęło od niej koszem, więc Lalinek odruchowo zatkał nos. „Cóż za flejtuch” – pomyślał o nowej znajomej.

– Jaki elegancik? Widział kto?! – prychnęła Mucha i znów podrapała się nogą po głowie. – No, gadaj wreszcie, skąd cię tu przywiało. No? Skąd i po co? – trąciła go skrzydłem. – Nie bój się, nikomu nie powiem – dodała wspaniałomyślnie, choć czuła się trochę zlekceważona przez tego stworka nie z tej ziemi.

Lalinek pokonał obrzydzenie wywołane skisłym zapachem, odwrócił się do rozmówczynie i zwierzył z kłopotu.

– Ach, o to chodzi... – westchnęła i spojrzała na autostradę. Akurat jedna z bestii zapiszcziała jak wściekła, a spod kół zawiąło smrodem

palonej gumy. – Trudny orzech do zgryzienia – stwierdziła i zamysliła się.

Kiedy Mucha myśli, to zawsze na głos, więc słycać było, jak po-bykuje machając nerwowo skrzydłami. Lalinek dostrzegł, że w słońcu jej skrzydła mienia się niemal tak pięknie, jak tęcza. Zrobiło mu się głupio, że był wobec niej pogardliwy i nazwał ją flejtuchem.

Mucha wcale nie dociekała, co to KLUCZ DO SPRAWY. Interesował ją sposób przekroczenia szlaku bestii. Spacerowała w tę i z powrotem. Była tak pochłonięta myślami, że w roztargnieniu omal nie ześlizgnęła się na dno kosza z góry papierów i kubków po jogurcie.

Nie była tchórzem, o nie. Ileż to razy musiała się ukrywać przed dziobami Ptaków, ileż razy ledwie umknęła z życiem przed podstępny-m Człowiekiem, który potrafi zagonić w śmiertelną pułapkę. Była bojowa i energiczna. Mimo to jednak unikała szlaku bestii. Kiedyś, gdy z ciekawości chciała przefrunąć na drugą stronę, wpadła w powietrzny cyklon wywołany pędem maszyn. Złapana w wir niczym w otwór od-kurzacza, nie wiedziała, dokąd leci; w dodatku ledwie mogła poruszać skrzydłami. Na szczęście bestie przerzedziły się na chwilę i dojrzała swój ukochany kosz. A przecież mogła – jak inne nieboraczki – skończyć krwawo na przedniej szybie.

– Postanowiłam, że nigdy więcej tam nie polecę. Nawet na dwa machnięcia skrzydłem – zwierzała się Lalinkowi.

– Ale ja muszę przedrzeć się na drugą stronę – zasmucił się Lalinek, w którym powoli topniała odwaga poszukiwacza, a do serca wciskało się zwątpienie.

Mucha znów rozpoczęła dreptanie połączone z monologiem.

– Eeeh, co ja z tobą mam! Dziś prześpisz się na sąsiednim klombie, a jutro coś wymyślę – zawyrkowała wreszcie, zobaczywszy, że Lalinek z trudnością już otwiera oczy.

Powiedziała to jednak bez przekonania. Zerknęła na szlak. Bestiom nawet w nocy nie chciało się spać. Autostrada wciąż piszczała, jazgotała, wyła i błyskała światłami. W mroku wydawała się jeszcze straszniejsza.



## Mucha i Pomnik Głupoty

**R** lomb, który Mucha poleciła Lalinkowi jako hotel, przypominał nieco sad. Dlatego Lalinek wyspał się w nim zdrowym, głębokim snem. Ale kiedy tylko otworzył oczy, jazgot autostrady przypominał o kłopotcie. Mucha też nie była w najlepszym humorze. „Widać nic nie zdołała wymyślić” – snuł domysły Lalinek.

Przyniosła mu na śniadanie okruszynę chipsa, ale podziękował. Nektar przygotowany przez panią Lalinkową był szczególny. Spadło do niego kilka jej pożegnalnych łez, które powodowały, że nigdy go nie ubywało i sycił największy nawet głód.

Będzie tak – zaczęła z powagą Mucha, wiedząc, w jak wielkiej niepewności jest jej nowy znajomy. – Myślałam, żeby zamówić Kreta. On z pewnością mógłby przebić korytarz pod autostradą, ale znając jego temperament wiem, że kopałby do przyszłej jesieni. Ponadto mówiły mi Szczypawki, że w podziemiach Człowiek zostawił wielkie i długie rury – to zdecydowane przeszkody. Więc Kret odpada. Myślałam też o znajomym Zającu, sprinterze, który mógłby przebiec szlak. Ale kiedy ostatnimi laty liczba bestii wzrosła, nawet on trzyma się od tej okolicy z daleka. Ptaki oczywiście nie wchodzą w grę, więc... po ptakach.

Zawiesiła dramatycznie głos i zerknęła na Lalinka.

– Żal mi cię, mały – bzyknęła z pewną rezygnacją w głosie – dlatego... Eeh, raz kozie śmierć! Ja sama przeprowadzę cię na drugi brzeg!

Mówiąc to od razu trochę pożałowała swojej decyzji. Była odważna – to fakt. Ale nie była ryzykantką! Słowo się jednak rzekło i musiała dotrzymać obietnicy.

A Lalinek? Wyobrażacie sobie, z jakim łoskotem uderzył o ziemię kamień, który właśnie spadł mu z serca? Kto wie, czy na chwilę nie zagłuszył nawet autostrady.

– Mucho kochana! – rzucił się jej na szyję z taką energią, że musiała się podeprzeć skrzydłami, by się nie przewrócić.

– A jeszcze wczoraj przeszkadzał ci mój zapach... – wypomniła z przekąsem. Nie całkiem jeszcze darowała mu to zatykanie nosa. – No, przebaczam ci – dodała wielkodusznie, ciesząc się w duchu: „W końcu niecodziennie jakiś Lalinek rzuca ci się na szyję, co, staruszek?”

Lalinek czuł wdzięczność. Rozumiał, że Mucha, chcąc mu pomóc, porywa się na najgorsze. Podziwiał ją. Zastanawiał się, czy on sam kiedykolwiek mógłby poświęcić się tak dla drugiego.

Ustalili plan. Poczekają na odpowiedni wiatr i dobrą widoczność. W środku dnia bestii jest nieco mniej – wtedy spróbują.

Południe rozgościło się na dobre. Mucha postanowiła zrobić przegląd swoich skrzydeł. Polerowała je pocierając o kawałek gąbki znalezionej na parkingu. Tylko sprawne mogły ruszyć na szlak.

– Wiesz co? – zastanawiała się. – Poradźmy się jeszcze Pomnika Głupoty.

– Pomnika Głupoty? – zdziwił się Lalinek. – A kto to taki?

– To bestia, która stoi nieopodal jako przestroga dla innych. Bestia-wrak. Za szybko jechała i teraz musi pokutować.

– No właśnie... – próbował dociekać Lalinek. – Czy można radzić się kogoś, kto jest głupi?!

– Masz rację. Ale po tej strasznej kraksie może już trochę zmądrzała i wie, jak skutecznie poradzić sobie ze szlakiem? Pytać nie zaszkodzi.

Bestia w stanie spoczynku, zwana w okolicy Pomnikiem Głupoty, wyglądała żałośnie. Widać, że koziołkowała kilka razy, zanim wpadło na nią drzewo. Czerwony lakier poodpryskiwał w wielu miejscach. Pyszczki rdzy wyglądały jak trądzik. W oczodołach, w których kiedyś



błyszczały reflektory, hulał wiatr. Opony dawno rozpłaszczyły się jak naleśniki. Wewnątrz nie było prawie nic. Degrengolada.

Bestia skrzypiała ponuro. Od ciągłego stania w przeciągu bolały ją boki.

– Kiedyż ta rdza już całkiem mnie zeżre i wreszcie się skończy...? – jęczała. – Jak długo jeszcze mam tu sterczeć? Wszyscy się na mnie gapią. Pokazują palcami jak jakieś dziwadło. Czy nie wystarczy, że już nie jestem na chodzie i nie mogę pościgać się z innymi na szlaku? Czy to jakaś kara? Och, dlaczego mnie właśnie spotkał taki los?!

Mucha cierpliwie czekała, aż bestia skończy biadolenie. Wiedziała, że sąsiadka musi się wygadać, inaczej – zapomnij o poważnej rozmowie.

– I w dodatku nazwali mnie Pomnikiem Głupoty – narzekała dalej i co chwilę wzdychała metalicznie, co powodowało, że tylna kłapa odpowiadała jej kłapaniem.

– A niby pomnikiem czego mieli nazwać? Mądrości? – wypaliła bezceremonialnie Mucha. Miała dość tego roztkliwiania się bestii nad sobą. – Ale w końcu jest pani ważna. Stoi pani na widoku i przestrzega. To prawie jak główna rola w filmie, czyż nie tak? – szturchnęła Lalinka skrzydłem, żeby w końcu coś powiedział.

– No i wszystko pani widzi – dodał przytomnie Lalinek, mając na myśli podwyższenie, na którym postawiono wrak.

– Naprawdę ja gram?... Jak artystka?... – zapytała z niedowierzaniem bestia, przerywając wreszcie jęki. – Jeśli naprawdę gram rolę, to muszę się trochę ogarnąć – wyjaśniła zwykłym zachrypłym głosem, w którym słychać było jednak mizerną nutę energii.

Mucha i Lalinek czuli, że wstąpił w nią nowy duch. Bestia próbowała zebrać do kupy cały swój złom. Chciała zatrzaskać drzwi, które słabo trzymały się zawiasów, ale one wciąż dyndały po swojemu. Tylna kłapa opadała na bok i w żaden sposób nie pozwalała się rozprostować. W końcu bestia zmęczyła się porządkami. Sapnęła z rezygnacją, wypuszczając przez oczodół po reflektorze tuman kurzu, który przypudrował nieco rdzawe wypryski. Potem przetała wycieraczką kawałek szyby, jaki jeszcze jej pozostał. Wyraźnie – mimo marnego rezultatu tego sprzę-

tania – miała niezły humor, bo na szybie zabłysło nawet coś w rodzaju uśmiechu. „Naprawdę ja gram? Naprawdę to moje sterczenie jest komuś potrzebne?” – myślała uszczęśliwiona. Nigdy dotąd nie słyszała o sobie nic tak miłego.

– No i dobrze. Ale my tu gadu-gadu, a ten mały aż piszczy, żeby przeдрzeć się na drugą stronę. Tak mu się przygód chce – Mucha porozumiewawczo puściła oko do bestii. – Ale jak tu, droga sąsiadko, przelecieć na drugą stronę?

Bestia zatopiła się w myślach na cały kwadrans. A ileż się przy tym nastękała, natrzęszczała, naskrzypiała. Jednak rdza zeżarła niemal całą jej pamięć i biedaczka niewiele zapamiętała ze swego żywota przed dramatycznym koziołkowaniem. Nie mogła więc służyć radą.



## *Lot nad bestiami*

*N*oc przed wyprawą pełna była niespokojnych majaków. Lalinek wiercił się jakby spał na oście. Mucha w półśnie szorowała skrzydłem o skrzydło.

Poranne niebo wstało dokładnie wypucowane z chmur. Wiatr jeszcze drzemał.

– Szkoda czasu, zaraz lecimy – zdecydowała Mucha, chrząkając, co było objawem najwyższego zdenerwowania.

Autostrada piszcziała jak zwykle. Podeszli blisko. Lalinek siadł okra-kiem na muszym tułowiu.

– Trzymaj się mocno – przestrzegła go Mucha raz po raz prężąc skrzydła.

Od szlaku dzielił ich tylko krawężnik. Lalinek zamknął oczy ze strachu. Nagle zaszumiało i poczuł szarpnięcie. Wystartowali.

– Aaaaaaa! – krzyczała Mucha starając się ominąć powietrzne prądy.

Czuła instynktownie, że nie może obniżyć lotu, bo inaczej zderzy się z szybą którejś z bestii. Miotало nią na wszystkie strony. Trzęsło niemiłosiernie. Lalinek bał się, że spadnie.

– Dolecieć! Dolecieć! – powtarzała Mucha jak zakłęcie. Skrzydła pracowały rytmicznie.

Lalinek otworzył jedno oko, spojrział w dół i zakręciło mu się w głowie. Tuż pod nimi migały kolory rozpedzonych bestii. Byli gdzieś w

połowie drogi. Nagle na horyzoncie pojawiła się wielka maszyna. Dużo wyższa od kolorowych. Na przodzie miała rurę buchającą czarnym dymem.

– Och, żeby tylko się z nią nie zderzyć! – krzyknęła rozpaczliwie Mucha.

Była przerażona. Wróg zbliżał się dramatycznie szybko. Nagle ona i jej pasażer poczuli gryzący swąd. Pociemniało im w oczach. „Stało się...” – pomyślała Mucha i strasznie jej się zrobiło żal kosza na parkingu. Czarny obłok wsysał ją do wnętrza. Oślepiąca, uderzyła bokiem o coś twardego. Zabolało. Poczuła, że jej prawe skrzydło słabnie. Znów przypomniał jej się ojczysty kosz... „Nie, nie dam się pożreć tej bestii, nie pójdzie jej ze mną tak łatwo!” – odezwał się w niej zew wojowniczeki. Ostatkiem sił wykonała szus w bok i nagle ... rozwidniło się. Wyrwała się czarnemu potworowi.

Lalinek na przemian krztusił się dymem i śmiał w głos z radości, tak, jak to tylko potrafią ocaleni. Ale do celu podróży było jeszcze jakieś pół drogi, a skrzydła Muchy słabły. Czuł swoim lekkim ciałkiem, jak wielki wysiłek wkłada Mucha w to, aby utrzymać kurs w wystarczającej odległości od bestii.

– Najukochańsza, jedyna, jeszcze trochę, jeszcze ociupinkę – dodawał jej odwagi.

Gdy wreszcie wylądowali po drugiej stronie, Mucha padła na asfalt. Lalinek przestraszył się. Próbował poruszyć jej skrzydłami, ale one leżały bezładnie jak dwa spracowane żagle, wysmagane wiatrem w czasie morskich burz. Lalinek omal się nie rozpląkał. Jego wybawicielka wyglądała na nieżywą, ale on wciąż dreptał wokół niej przejęty. Co chwilę zaglądał w przymknięte oczy. Próbował podnieść zwiędłe skrzydła. Masował tułów. Kiedy już uwierzył, że to koniec, Mucha odezwała się swoim zwykłym stanowczym głosem:

– No, już przestań wreszcie, ja się boję łaskotek.

Po drugiej stronie szlaku Pomnik Głupoty, który widział ich zmagania, głośno bił brawo klapą od bagażnika. Natomiast Mucha pozwalała Lalinkowi wahlować siebie liściem babki. Obydwoje milczeli, bo jej wy czyn nie wymagał żadnych słów.

– To czego ty właściwie szukasz po świecie, co, mały? – Mucha prze-  
rwała ciszę.

– Przecież mówiłem. Szukam KLUCZA DO SPRAWY – przypomniał  
Lalinek.

– Klucza?... Tu nie ma żadnego klucza, aaa... – ziewnęła szeroko i na-  
gle zapadła w głęboki, zasłużony sen.

– Dziękuję ci za wszystko. Nigdy cię nie zapomnę – szepnął Lalinek,  
choć jego wybawicielka chrapała w najlepsze.

Ostatni raz pogłodził jej obydwie spracowane skrzydła, po czym  
rozejrzał się wokół. Zobaczył kosz na śmieci. Wypisz, wymaluj –  
ojczysty kosz Muchy po tamtej stronie szlaku. W dodatku z podobną  
górką kubków po jogurcie i papierków po batonach. „W sam raz na jej  
apetyt. Więc chyba mogę ją tu zostawić?” – zastanawiał się i w końcu  
odetchnął z ulgą. Przed nim wiała się dalsza droga.





## W pułapce

Tym razem Lalinek wybrał polne ścieżki dalekie od zgiełku. Chciał odpocząć. Maszerując słyszał Szpaki rapujące na drzewie czereśni, chlupot Ryb ścigających się w stawie, a nawet pogaduszki dwóch Dżdżownic, które wybierały się na spacer w aleje między dmuchawcami.

– Słyszała pani, jak ten biedak piszczy ze strachu od samego rana? – mówiła jedna do drugiej. – Tak mi go żal, tak żal...

– Przed chwilą opowiadała Sroka, że już ledwo dyszy – sapała druga, ledwo sunąc opasłym brzuchem po grudkach ziemi.

Lalinek minął Dżdżownice i nie dosłyszał, kto jest owym biedakiem. Ujrzał za to wysoką, zieloną ścianę. To był żywopłot. I wtedy usłyszał cichy pisk. Zaciekawiony, ruszył wzdłuż ściany, rozglądając się uważnie. Nagle pisk powtórzył się tuż obok niego. Brzmiał tak przejmująco, że Lalinek przystanął i spojrzał w górę. Tuż nad ziemią zobaczył głowę z rozwartym dziobem i dwoje wlepionych w niego brązowych oczu. W tych oczach było błaganie.

– Ktoś ty? – zapytał Lalinek głowę z dziobem.

– To ja, Chicken z ферmy – wycharczał dziób.

– A gdzie... twoja reszta?

Głowa poruszyła się rozpaczliwie, lecz reszty osobnika w żywopłocie wciąż nie było widać.

– Uwięźłem tutaj, ratuj mnie! – pisnął omdlewająco dziób i Lalinowi wydawało się, że brązowe ślepka odpływają za mgłą.

– No dobra, ale jak cię stąd wyjąć? – Lalinek zaczął szarpać szyję Chickena. Bezskutecznie. W gęstwinie żywopłotu wyglądała na ofiarę złapaną w pułapkę.

Lalinek przejął się bardzo. „Co to za bidula?” – dziwił się. Próbował pociągnąć za dziób, aż na szyi Chickena zsiniały ledwo co zarysowujące się korale. Nic z tego. Dziób miotał się bezsilnie. Lalinek postanowił więc przedostać się na drugą stronę kolczastej ściany i jakoś wypchnąć resztę jeńca.

W gardle uwięzionego cichutko zagrało. „Oho – pomyślał Lalinek – to już ostatni dzwonek, nie ma na co czekać.” Kilkakrotnie zaczepiając o kolce plecakiem z maminym nektarem, przebrnął jakoś na drugą stronę buszu. Tu zobaczył nastroszony kuper, z którego wyglądały dwie cienkie nogi w pomarańczowych skarpetkach. Nogi orały bezładnie ziemię, a kuper trząsał się co chwila jak w afrykańskim tańcu. „Aha, to pewnie ta reszta” – domyślił się Lalinek i wbrew tragizmowi sytuacji roześmiał się serdecznie. Widok był naprawdę kabaretowy: drób w dwóch porcjach! Ale Lalinek szybko spoważniał.

– Zrób coś, błagam – ponaglał go pisk z drugiej strony kolczastej ściany.

Lalinek nabrał powietrza i z całej siły ruszył do ataku na kuper. Niestety, był wagi puchowej i co tu dużo mówić: nie dałby rady nawet pajęczynie. „Muszę zawołać pomoc – podjął błyskawicznie decyzję. – Ale kogo?”

Tę scenę obserwowała z wysokiej gruszy Sroka.

– Kszryk – zawołała. – Mogę popchać.

Oparła się o kuper z całą mocą, ale więzień ani drgnął.

– Uff, może zawołam Kreta? – zaproponowała.

Kret wygramolił się spod ziemi. Wyglądał jak buldożer po pracy. Otrzepując grudki ziemi z futra witał się po przyjacielsku z mieszkanką gruszy. Mieli ze sobą pewne konszachty. Sroka, znana z podkradania tego i owego, chowała często swoje łupy w krecich kopcach. W gruncie rzeczy nie miała złego serca, tylko brakowało jej silnej woli, żeby skończyć z przestępczym procederem. Tym razem postanowiła zrobić



coś dobrego. Kret mrużył oczy przed światłem dnia i nie bardzo widział, o co chodzi, ale kiedy zrozumiał, zabrał się do roboty solidnie.

– Raaaz – dwa! – komenderowała Sroka, pchając swojego pomocnika, który z całej siły taranował tylną resztę Chickena. – Raaaz – dwa!

Nic z tego. Kret i Sroka to stanowczo za mało, żeby wydostać więźnia z pułapki.

Tymczasem Wróble kibicujące im z gruszy wzbiły się ostrzegawczo w niebo. Na ścieżce przy żywopłocie wyrósł cień. Gromadka zaniemówiła. Bo jeśli to Pies? Albo sam Człowiek?...

– Od tej chwili ani mru-mru – rozkazał szeptem Lalinek, zaciskając dla pewności ręce na dziobie Chickena.

Z drugiej strony żywopłotu Sroka wpadła w panikę, ale szybko opamiętała się i przystąpiła do działania. Zasłoniła Kreta liściem agrestu wpychając mu dodatkowo głowę między dwa zgniłe jabłka, które przytoczyły się pod żywopłot spod pobliskiej jabłonki. „Wiać!” – rozkazało coś w sroczej głowie. Ale gdzie tam! Nie było już czasu. Cień sunął w ich kierunku. „Zostawić kogoś w nieszczęściu? Jednak odpada. Ale jak tu zamaskować kuper z nogami w tak jaskrawym pomarańczowym kolorze?” – myślała rozpaczliwie. W ostatniej chwili zgięła gałąź i wieszając się na niej próbowała zasłonić liśćmi kurczakowy tył.

Cień zbliżał się nieubłagane, a wraz z nim – Człowiek. Szedł wolno, zostawiając po sobie głębokie odciski butów. Szedł i wzdychał. Za każdym jego krokiem Sroka truchlała. Kiedy cień przesłonił światło, ze strachu zamknęła oczy. Słyszała, jak zgrzyta żwir na ścieżce tuż przy nich. Łypnęła jednym okiem: noga Człowieka zatrzymała się tuż obok kreciego futra. Człowiek wyjął coś z kieszeni, usłyszała trzask i za chwilę obok Kreta spadła zapalona zapałka. Od czarnego futra dzielił ją jeden mały krok. Kret, któremu nagle zrobiło się gorąco, przestał udawać, że go nie ma i wyjął głowę spomiędzy jabłek. „Ooo” – zdziwił się, spostrzegłszy płonącą żagiew. I nagle, niby zwinny cyrkowiec, przeturlał się na drugi bok. Jednocześnie przerzucił nogą sporą garść ziemi, która zdusiła ogień. Ale Człowiek wciąż stał.

Sroce wydawało się, że słyszy, jak motyl trzepie skrzydłami – tak się zrobiło cicho. Z wysokości niesły się ludzkie westchnienia wraz z szu-

mem wydychanego dymu. Człowiek trzymał w ręku kawałek białego papieru. Był na szczęście tak zajęty lekturą, że nie patrzył pod nogi. Po chwili zmiął kartkę, cisnął ją na ziemię i ruszył dalej. Był smutny.

Dopiero po kilku długich chwilach jeniec żywopłotu i jego ratownicy mogli się poruszyć.

– Zupełnie zdrętwiałam – skarżyła się Sroka.

Kret spokojnie otrzepywał futro z ziemi – był zadowolony z dobrze spełnionego obowiązku.

– No, gdyby nie ty, byłaby już z nas pieczeń – pochwaliła go Sroka.

– Eee tam! Rutyna. Nie ma to jak ziemia. Nawet ogień ugasi – odpowiedział z flegmą konstruktor podziemnych labiryntów, wcale niełasy na komplementy.

Lalinek wciąż mocno ścisnął dziób Chickena. Sam Chicken – przestraszylibyście się! – ledwo dyszał. Brązowe oczy zasły mu mgłą, nogi zwisały nieruchomo jak dwa badyle, a cienka szyja posiniała i nie dochodziło z niej nawet najcichsze tirlikanie.

– Najgorsze, że on wciąż tkwi w pułapce, a my nie możemy mu pomóc – martwił się Lalinek, puszczając wreszcie dziób Chickena.

Podciągnął do góry kurczakową powiekę: oko zbrązowiało na chwilę, by znów odpłynąć w dal. Sroka truchtała w kółko.

– Klól Kalol kupił klólowej Kalolinie... No, nie, od początku. Klól Kalol... – powtarzała dla odzyskania równowagi duchowej znaną powtarzankę, wciąż nie mogąc wydobyć z siebie zwykłego r – ... kupił królowej Karolinie korale koloru koralowego! Wreszcie! Hurrria! – krzyknęła uradowana, gdy po kilku próbach wróciła jej poprawna wymowa.

– Na kardamon! – zaklęła (w chwilach podniecenia nie przebierała w słowach). – I co z tym naszym bidulą?

Rozejrzała się wokół. Chicken nadal wiądnął w pułapce, a Lalinka i Kreta nie było. Ale zaraz zobaczyła pochód: na czele sunął Kret, za nim maszerował duży Gawron – brunet z granatowym połyskiem na skrzydłach, za nim trzy przyjaciółki Nornice. Pochód zamykał Lalinek, bardzo zadowolony z siebie i Kreta. Bo przecież razem skrzyknęli sąsiadów.

Odbicie Chickena z pułapki poszło tym razem jak z płotka. Połączone siły z łatwością wypchały go z kolczastej gęstwiny. W porę. Chicken ledwo dyszał, ale wracał powoli z drobiowych zaświatów.



## Opowieść Chickena

Słuchaj, kto cię wsadził do tej pułapki? – zapytał Lalinek, kiedy odbity Chicken mógł już gdakać jak należy. Wyglądał na małolata.

– Kim jesteś? – zaciekawili się chórem.

– Uciekłem z ферmy – zaczął opowieść. – Nie mogłem dłużej znieść niewoli.

– Niewola? A co to takiego? – dopytywali się Chickena.

– Nie wiecie?! – zdziwił się niedawny jeniec i potoczył wzrokiem po audytorium niczym bohater.

– To ta pułapka w żywopłocie? Powiedz wreszcie – niecierpliwiło się towarzystwo.

– Pułapka w żywopłocie to nic w porównaniu z fermą – wyjaśniał Chicken. – To tylko chwilowe więzienie. Ferma to grób za życia. Od rana do wieczora tylko tyj i tyj! I po co to wszystko? Żeby na koniec zostać... kotлетem! – wykrztusił czarną wizję kurczakowego żywota.

– Makabra – zatrwożyła się Sroka, a Nornice przytuliły się do siebie i zastygły na kształt futrzanej muffki.

– Nic nie rozumiem... – wyznał przejęty Lalinek. – Jaki grób? Jaki kotlet?

– To przeznaczenie takich jak ja – mówił dalej Chicken; tym razem dziób mu się wydłużył ze smutku. – I dlatego uciekłem.

– Więc wyduś wreszcie z siebie, kim jesteś – dopingowała go Sroka. Chicken potrząsnął wyrzynającym się nieśmiało grzebykiem, z powagą popatrzył na słuchaczy i rozpoczął opowieść.

– Na początku byłem w jajku. Mamy ani taty nie pamiętam, bo nim przyszedłem na świat, moje jajo powędrowało na fermę. Nie zaznałem ciepła kwoczych skrzydeł. Od tej pory wysiadywał mnie Człowiek. Najpierw mnie prześwietlili, czy nie jestem jakiś zbuk.

– Zbuk? – przerwała mu Sroka, bardzo przejęta, bo przecież podobnie jak Chicken należała do wielkiej rodziny dziobatych.

– To takie felerne jajo. Trochę nieświeże i dlatego nigdy nie zostanie kołyską dla malucha – wyjaśnił ze znastwem bohater dnia. – Moja skorupka była mocna, bezpieczna i przytulna. Człowiek włożył moje jajo do maszyny, która udawała kwokę. Niedawno stary Kogut, zabytek podwórka, opowiadał mi, że kiedyś było inaczej. Kury-matki same wysiadywały swoje dzieci, a Koguty-ojcowie puszyli się z dumy w kurniku, że ich rodzina wciąż powiększa się o nowe potomstwo. W ogóle było inaczej... – Chicken zawiesił gdak i przymknął w zadumie oczy. Po chwili przerwy wznowił opowieść. – Kogut mówił, że na podwórkach kwitło życie towarzyskie. Jak ten drób rozrabiał... Kury rajcowały z Kaczkami, Kurczaki podbierały Indyczetom twarożek z pokrzywą, a Gąsiorzy udawały orkiestrę dętą. Poza tym, no wiecie: można się było dla rozrywki pochlapać w błocie. Ach, jak musiało być przyjemnie. A te słynne biegi do koryta? Kto pierwszy po ziarno? Czasem myślę, kurza melodia, że to wszystko, co mówił stary Kogut, to jakaś bajka – westchnął Chicken i znów popadł w zadumę.

Mufka z Nornic zafalowała i westchnęła również.

– Przodkom Koguta we łbach się nie mieściło, żeby oddawać jaja do wysiadywania Człowiekowi – kontynuował z niesmakiem Chicken. – Kogut gdakał mi tak: „Pierwsze przykazanie drobiu – »kwoko wysiaduj sama!«. Ja urodziłem się w gnieździe w małej zagrodzie pod lasem, pod podłogą komórki. Mama co noc drżała ze strachu przed Lisem i kocimi ślipiami, nie dojadła, nie dopiła, ale wysiedziała mnie i moich braci jak każe tradycja. Teraz co innego. Takie kwoki już niemodne. Mówią, że zacofane. Może są gdzieś jeszcze przytulne podwórka z grzędami,

ale to już niedobitki. Przeżytek. Starodrobiowa legenda. Świat galopuje naprzód jak dzika Kaczka przed lotem”. Tak mówił Kogut.

– Przynajmniej ma co wspominać Kogucisko – wysapał z podziwem Kret. Dobrze rozumiał, co znaczy przywiązanie. Od wieków przecież jego ród zajmował się tym samym podziemnym fachem. – Ale skończ, co z tym jajem – mitygował Chickena, bo lubił, żeby każda opowieść miała początek i koniec, ręce i nogi.

– No więc Człowiek włożył mnie – ach, co za nazwa, kurza melodia – do aparatu łęgowego. Ciepło było, nie powiem, no i bujało mnie co godzinę, żebym się nie przykleił do skorupki. Trzeba przyznać, że Człowiek ma łeb pod grzebieniem. Pilnuje, czy w tym aparacie jest jajku nie za ciepło, czy nie za zimno, i wciąż przewraca. Jednym gdakiem: dobrze podrabia kwoczą troskliwość. A ja rosłem w siłę. W trzeciej dobie zarysowało mi się oko, w czwartej – głowa i serce, w siódmej wydłużył mi się dziób, w czternastej pokryłem się puchem i zbieleły mi pazury, w szesnastej dostałem kuperka. Dwudziestego dnia już mnie korciło, żeby wybić okno na świat, ale jeszcze poczekałem. Dopiero następnego dnia wykułem dziurę. Dziób mi zdrętwiał z wysiłku, dlatego jeszcze jakiś czas przesiedziałem w hełmie ze skorupy, a wokół rozbijali się moi rówieśnicy. Całe bractwo znalazło się potem na tej fermie...

– Dlaczego z niej uciekałeś? – dopytywał się Lalinek.

Chicken omiół go spojrzeniem pełnym rozpacz.

– Przecież to ferma tuczenia drobiu. Sześć tygodni i jazda na talerz, nie rozumiesz?! Och, nie przedstawiłem się państwu. Jestem Chicken ze Szkocji – poderwał się do prezentacji i wtedy wszyscy spostrzegli, że ma na sobie spódniczkę w kratkę. – Pochodzę z arystokracji mięsnych, z rodu siłaczy. Niestety, Człowiek lubi właśnie takich jak ja. Już nie chce tłustych oczek w rosole – woli chude białko.

– Oho ho! Na kardamon! – zawołała Sroka, bo to wszystko nie mieściło jej się w głowie. Z emocji dostała wypieków i musiała wachlować się ogonem.

– Mister Chicken, I don't understand and..., and, hmmm..., oh, yes – chciała pochwalić się angielszczyzną, ale szybko skończył jej się słownik wyrazów obcych.

– Gdyby nie stary Kogut, może teraz żarłbym grzecznie i tył razem z kumplami, jak Człowiek przykazał... – mówił dalej Chicken. – Ale słysząc o innym świecie, czyż mógłbym dalej tam tkwić? Czyż kurzy żywot polega wyłącznie na jedzeniu? Nie znosiłem tej tuczarni. Tej ciasnoty i bezmyślnego gdakania od świtu do nocy. Strasznie ciągnęło mnie na wolność.

Mufka poruszyła się i jedna z Nornic mruknęła do koleżanki:

– Fiu, fiu, słyszałaś? Drób wcale nie jest taki głupi, na jaki wygląda.

– Ciii – uciszyły ją przyjaciółki. – Mądrała się znalazła. Nie zadzieraj nosa. A gdyby ciebie skazali na takie więzienie?

– ... i dziś rano postanowiłem wiać – kończył opowieść Chicken. – Niby spacerowałem i spacerowałem koło siatki, a potem smyrnąłem przez dziurę dla Kotów. Nikt się nie połapał. Liczenie grzebieni odbywa się dopiero wieczorem.

Opowieść zrobiła wrażenie. Ileż jeszcze było pytań! W końcu wybawiciele jeńca żywopłotu pożegnali się i każdy udał się na kolację do domu. Zostali bezdomni: Lalinek i Zbieg. Bohaterowie mijającego dnia byli bardzo zmęczeni.

Z powodu ostatnich przeżyć Lalinkowi kompletnie wyleciał z głowy cel jego wyprawy w świat. Zapomniał o KLUCZU DO SPRAWY. Przypomniało mu go dopiero pytanie Chickena.

– Ty nie wiesz, co to jest, i ja nie wiem – myślał na głos Chicken – no to szukajmy go razem.

Lalinek ucieszył się tą propozycją. Zbieg z fermy był mu bliski. Sam przecież nie tak dawno potrzebował pomocy na szlaku bestii.

– Eeh! Jak za tą siatką świat inaczej gdacze! Nie masz pojęcia! – roztkliwił się z wdzięcznością Chicken i rozłożył na trawie. – Dla takiej chwili warto żyć. Wiesz, zamierzam znaleźć jakąś miłą kokoszkę i ustatkować się. Może być czarna, blondyna, ruda, pstrokata i niekoniecznie Szkotka, byleby tylko nie była prostaczką. Strasznie nie lubię chamstwa. Najlepiej, żeby znała dobre maniery.

– To znaczy co? – Lalinek był podekscytowany.

– No wiesz... Żeby dyskretnie wyciągała glisty z ziemi, nie afiszowała się ze składaniem jaj, nie leciała na łeb na szyję razem z innymi, kiedy

Człowiek woła: „cip, cip!”, tylko kroczyła godnie i z wdziękiem nosiła szyć. No i w ogóle, żeby była mądra.

– Widziałeś już taką?

Chicken ocknął się z rozmarzenia. Pytanie Lalinka wyraźnie go ocuciło.

– Nie – odgądał zgodnie z prawdą. Na fermie taki ktoś mógłby mu się tylko przyśnić. Ale czyż nie warto śnić? Lalinek nie miał jeszcze snów.

Zmierzch wylewał na ziemię czarny atrament. Przyjaciele nie przeczuwali, że następny dzień przygotowuje im jeszcze większą przygodę niż poprzednie.





## Pościg



Szli i szli. Któregoś dnia horyzont sprawił im niespodziankę – w dali wystrzeliły nagle szare góry budynków. Prowadziły doń liczne szlaki bestii. Świat wypełniała orkiestra dźwięków, przy których autostrada z Pomnikiem Głupoty wydawała się teraz Lalinkowi całkiem cicha i nie tak straszna. Za to miał przyjaciela. A Chickenowi nie zamykał się dziób. Chłonał wolność jak gąbka. Wszystko go ciekawiło, czasem rozśmieszało.

– Patrz, Lali, co to za dziura – wołał Lalinka zaglądając w otwór ukryty między pokrzywami.

Lalinek już chciał przypomnieć Chickenowi, żeby raczej nie wsadzał dzioba tam, gdzie nie trzeba, gdy wtem spomiędzy krzaków jałowca wyszły na ścieżkę dwa Indory.

– O, kurza melodia! – szepnął przerażony Chicken, kryjąc się w chaszczach. – To przecież ochroniarze z fermy.

Ze strachu zatrzęsły mu się kolana i zmarszczyły pomarańczowe skarpety. W ostatniej chwili pociągnął Lalinka w pokrzywowy busz. Obydwaj znieruchomieli.

Indory przemaszerowały w pobliże ich kryjówek. Wyglądały na łowców zbiegów. Były uzbrojone po dzioby. Na szyjach pod kiściami korali wisiały im krótkofalówki, na plecach każdy z nich dźwigał łuk i kołczan ze strzałami, pod skrzydłami videokomórki oraz specjalne wykrywacze

istot żywych najnowszej generacji. Ekwipunku dopełniały czarne okulary i wysokie buty z ostrogami, które pełniły rolę ukrytej broni.

– Gul, gul, gul, tu pogoń, tu pogoń, jak mnie słyszać? – gulgotał jeden z nich. Drugi rozglądał się czujnie na boki.

– Dochodzimy do strefy kamiennych gór, kamiennych gór, powtarzam, straszny smród, straszny huk, poszukiwanego drobiu nie widać, co robić, odbiór.

W krótkofalówce coś zapiszczało, zawyło i odezwał się mrukliwy koci głos:

– Włazić na te góry, palancie, włazić i już, miauu! I nie wracać mi bez tego smarkacza, bez odbioru.

Kot Bury był dowódcą pościgu. Stary Kogut nazywał go sługusem reżimu. Kot potrafił się ustawić. Z natury był czarusiem, potrafił schlebiać Człowiekowi, w końcu owinął go sobie wokół ogona. Nawet sam Kogut nie wiedział już, kto jest panem sytuacji: Człowiek czy Bury. Jedno było pewne: to pręgowaniec trzymał w ryzach całą tę tyjącą masę na fermie.

– Słyszałeś, gul, gul? – zagulgotał ze złością Indor po odłożeniu krótkofalówki. – Przepadł jeden marny grzebień i zaraz tyle miauczenia. Włazić na góry! Od razu! Ten Kocur chyba nie ma pojęcia, o czym miauczy.

Bryły zasłaniające horyzont rzeczywiście nie nadawały się na indycze wspinaczki. Były sto i więcej razy wyższe od samego Człowieka. Za to kępa pokrzyw prezentowała się swojsko.

– Chodź, stary Gulgocie, weźmiemy coś na dziób – zaproponował drugi z Indorów, najwyraźniej lekceważąc polecenia Burego.

Ukryci w pokrzywowym buszu przyjaciele usłyszeli zbliżające się człapanie.

– Już po nas – wyjąkał Chicken.

Człapanie stawało się coraz wyraźniejsze. Kiedy jednak Indory rozgarnęły skrzydłami pokrzywy wokół dziury, nie było tam już ani śladu po zbiegach.



## W królestwie Szczura

**I**ndory objadły się pokrzyw i zrzuciwszy ekwipunek na kupę, legły brzuchami do góry na małą drzemkę. I pomyśleć, że wcale nie zauważyły dziury zamaskowanej chaszczami. Dziura była raczej głębokim kanałem zakończonym trzema innymi otworami, które prowadziły w lodowaty, nieznany mrok. To ona uratowała uciekinierów.

– Jesteś tam? – szepnął Lalinek. Cały drżał. Wydawało mu się, że wokół nie ma nic oprócz czarnej waty.

– O, kurza melodia! To noc czy smoła? A może ja już jestem kotлетem? – dobiegł go z sąsiedztwa znajomy gdak.

Lalinek przed chwilą jeszcze leciał w dół wolno, niczym jesienny liść. Gorzej było z Chickenem. Biedak spadał ciężko na łeb na szyję i w końcu gruchnął jak worek kości. Teraz rozcierał sobie skrzydłami potłuczone boki.

– Strasznie ciemno – rozgdakał się obolały. Rozgarniał skrzydłami czernię, próbując znaleźć przyjaciela.

Odnaleźli się dopiero po długiej chwili. Z trudnością. Przestrzeń naszpikowana była przeszkodami. Chicken próbował je dziobać dla identyfikacji. Dźwięczały jak metalowe puszki po napojach. Usiedli na jednej z nich. Lalinek popatrzył w górę; zaledwie nikłe cętki światła ponad ich głowami świadczyły o tym, jak głęboko wpadli.

– A może ja naprawdę jestem już kotлетem? – marudził Chicken.

– Ja wciąż jestem Lalinkiem, więc ty wciąż musisz być Chickenem – uciał Lalinek.

– A tak się cieszyłem wolnością. Myślałem, że będzie zawsze, a teraz? Nowe więzienie.

Chicken nie odtajał jeszcze po smutnych doświadczeniach na fermie.

– Masz coś i to tracisz. Nic nie jest na zawsze – próbował go pocieszać Lalinek. – Karuzela. Ale pomyśl: jednak żyjemy! I to jest najważniejsze.

– No – zgodził się bez entuzjazmu Chicken.

W czeluściach dziury czarna wata otulała ich szczelnie. Puszka, na której siedzieli, była zimna. Cuchnęła.

– Tam są chyba jakieś inne dziury – Lalinek machnął ręką w nieco mniej smolistą przestrzeń. – Może byśmy je zbadali?

– Brrr... Coś mnie telepie – poskarżył się Chicken, a jego dziób kłapał rytmicznie jak pokrywka na garnku gotującej się zupy. – Po co badać inne dziury? Nie wystarczy nam ta jedna? Ją już przynajmniej znamy.

– Ale może tam jest jakieś wyjście...? – upierał się Lalinek i nagle zamilkł, bo gdzieś obok nich dał się słyszeć szmer.

Wkrótce szmer zastąpił trzask, stuk, coś się sypało, przesuwano... Chicken zamienił się w komplet instrumentów perkusyjnych. Trząsał się bardzo, stukał dziobem, a wraz z nim gruchotała cała puszka. Jeszcze trochę, a tę perkusję usłyszałyby drzemiące na górze Indory.

Nagle czerń tuż przed nimi poblakła i zobaczyli oślepiającą plamę. Tak jakby odpruł się kawałek jasnego nieba i wpadł do ich dziury. Lalinek zamknął oczy i znów je otworzył. Chicken przestał się telepać. Nagle na tle jasnego plastra ukazała się ciemna skurczona postać. Postać sapnęła głośno, kaszlnęła i zaczęła mruczeć do siebie.

– Gdzie się podziały te moje notatki? Czy to można mieć porządek w tym bałaganie? Wczoraj zostawiłem je gdzieś tutaj... Zaraz, zaraz, a co ja właściwie tutaj robiłem? Sklerozka mnie bierze, czy co? Aha, rozgryzałem problem puszek. Wyszło na to, że są coraz większe i ostrzenie na nich zębów nie daje mi już tyle przyjemności, co kiedyś.

Postać obwąchiwała teraz sąsiedztwo nowych lokatorów dziury. Wyraźnie było widać, że światłość pochodzi od grubej woskowej świecy.

– Tak, tak, ale gdzie się podziały moje notatki? – pytała postać. – Zaraz, zaraz, co tu tak przyjemnie pachnie? Chyba tak jakoś... podrobowo.

Nagle postać zawadziła o Chickena. Zrobił się rumor, Chicken rozgadał się dramatycznie, Lalinek przykucnął. W świetle uciekinierzy zobaczyli Szczura. Był duży i chudy. Na nosie miał okulary, z głębi których patrzyły na nich dwa czarne paciorki oczu. Posiwiąłą sierść gdzieś zastępowała wyleniała łysina. Był stary. Patrzył na nich z ciekawością, bo już dawno nie miał gości.

– Z kim mam przyjemność? – zapytał, wysuwając jeden z niewielu zębów, jakie mu pozostały. A i ten wyglądał na ostatniego mohikanina, w dodatku po wielu stoczonych bitwach.

Chicken ponownie dostał silnego telepania, ponieważ przypomniał sobie, że Stary Kogut niezbyt pochlebnie wyrażał się o szcurzych posunięciach względem drobiu.

– Wpadliśmy tu... na chwilę, żeby coś przemyśleć – odpowiedział rezolutnie Lalinek.

– Myślenie niewątpliwie ma przyszłość, panowie – ucieszył się Szczur. – Znałem kiedyś pewnego uczonego znad Sekwany, de Kartona, który powiedział: „Myślę, więc jestem”. To zdanie znajduje się teraz we wszystkich podręcznikach dla małych Szcurów. Hm... Ale nie dosłyszałem, kim jesteście.

– Ja nazywam się Lalinek, przybyłem z Lalanii, a to mój przyjaciel Chicken, Szkot, z fermy – prezentował Lalinek. – Ja szukam KLUCZA DO SPRAWY, a Chicken wolności. To wszystko.

– Z punktu widzenia teorii poznania to wystarczające powody, żeby myśleć – odpowiedział Szczur najwidoczniej nabierając apetytu na pogawędkę. – KLUCZ DO SPRAWY, mówisz. Ha! Widziałem kiedyś wspaniały klucz. Był duży, żelazny, odrobinę zardzewiały. Wisiał na rzemieniu nad wrotami młyna. Młynarz codziennie zdejmował go z gwoźdza i otwierał drewniane podwoje. A ja, wówczas taki smaracz jak ty – Szczur wysunął nos w kierunku Lalinka – przyglądałem mu się zza worka z ziarnem. Kiedy nie widział, ja i moi bracia baraszkowaliśmy w kątach młyna, gdzie zbierały się przez lata nie wymiatane resztki mąki. Wiecie, że czasami stawaliśmy się podobni do białych

Królików? O tempora! Ale, ale... – oświetlił Chickena. – Dawno nie widziałem prawdziwego Kurczaka. Pokaż no mi się z bliska, ty szkocki drobku.

Chicken znów trząśnięt jak galareta.

– Hm, jesteś brzydszy niż na rysunkach, a pióra masz mokre jak po kąpieli w błocie – ocenił Szczur z bezwzględną szczerością. – Chodźcie, to coś wam pokażę.

Ruszył jednym z korytarzy z plastrem światła na przedzie, a przyjaciele szli za nim posłusznie jak trusie. Lalinek i Chicken nie wiedzieli jeszcze, jak potraktować to zaproszenie. Bać się czy nie.

Szli kwadrans, może dłużej. Korytarz był niewielką rurą. Wisiało w nim cuchnące powietrze.

– Pamiętam czasy, kiedy nie było jeszcze tych wielkoludzkich domów, a miasto przypominało wieś. Wówczas tą rurą płynęły ścieki – informował po drodze gospodarz podziemi. – Potem Człowiek wzniósł wielkie domiska, więc i rury stały się prawdziwymi olbrzymami.

Mruczenie Szczura działało na Lalinka i Chickena uspokajająco. Przewodnik potykał się kilka razy, wtedy okulary spadały mu z nosa i przyjaciele czuli się w obowiązku ich szukać. Dno rury było obrzydliwie śliskie, roiło się tam od małych czarnych robaków.

Doszli wreszcie do kolejnego rozwidlenia rur, za którym zobaczyli dość jasną przestrzeń. Leżały tam wysokie sterty gazet, gwoździ, sprężyn, jakieś pudła, słoje, w kącie piramida z puszek, a obok druga – ułożona ze starych gramofonowych płyt. Lodówka z poźótkłą emalią, w kilku miejscach podrapana, kuchenka mikrofalowa, kilka dzieciennych samochodów, miś z jednym uchem, fura klocków lego, dwa telewizory, trzy radioodbiorniki, zwój pazłotek po czekoladkach... Można by tak wymieniać do rana. Wszystko przypominało labirynt. Pośrodku tej rupieciarni stało wielkie drewniane biurko. Musiało być równie stare jak właściciel. Albo jeszcze starsze. Nogi wygięły mu się od dźwigania opasłych tomów, lampy z dziurawym kloszem zakończonym frędzlami i komputera z wybebeszonym środkiem.

– To moja pracownia – zaanonsował Szczur z taką dumą, jakby pokazywał gościom co najmniej laboratorium NASA.

– Och! – wykrzyknął piskliwym dyszkantem Chicken, co miało oznaczać najwyższy podziw dla magazynu kłamotołów. Strach całkiem go nie opuścił, więc tym bardziej postanowił być miły. – Jakie ładne urządzenie! Co za interesujący zestaw makulatury. Doprawdy, jak równo ułożona... A ta wieża z klocków? Majstersztyk! I...

Chicken przerwał czując, że jednak zbyt szybko się zagalopował w pochwałach. Szczur natomiast słuchał ich z namaszczaniem i skromnością zarazem, jak przystało na gospodarza. „Co za kulturalne towarzystwo – myślał i łykał słodkie słowa niczym krople soku malinowego. – Dobrze wreszcie spotkać kogoś z góry, posłuchać, co tam mówią, co myślą”.

– Jaka miła drobina – z rozczuleniem klepnął Chickena po plecach, aż ten dostał czkawki.

Lalinek rozglądał się po pracowni z ciekawością. Wyczuwał w Szczurze myśliciela. Miał nadzieję, że to on pomoże mu w poszukiwaniu KLUCZA DO SPRAWY.

– Ale miałeś coś nam pokazać – przypomniał grzecznie gospodarzowi.

– Ha! To wszystko przez moją sklerozkę, mój drogi. Oczywiście, że miałem pokazać... – ruszył ku jednemu z pudeł i zanurkował w nim.

Pudło wypełniały gazety. Część wykipiała w czasie poszukiwań i Lalinek z Chickenem mogli zobaczyć, że wiele z nich ma kolorowe ilustracje.

– Jeszcze jedno zanurzenie – komunikował Szczur kilkakrotnie i zniknął pod powierzchnią.

– Jest! – wynurzył się wreszcie z okazałym magazynem w pysku.

Były w nim zdjęcia dorodnych kokoszek. „Ojej, to pewnie takie, o jakich marzy Chicken” – domyślił się Lalinek. Jedna miała pomalowany na czerwono dziób, inna tapir na czubku, jeszcze inna różowe pazury, a niewielka czarnulka z torsem w białe kropki – przypięte pod grzebieniem sztuczne rzęsy.

– MISS NIOSEK – przeczytał Lalinek wielki tytuł. Pod nim, na największym zdjęciu stała na grzędzie ruda Kura w złotej koronie. Blask złota odbijał się na piórach drobnymi cętkami. Koło niej piętrzyła się

góra jaj. „Królowa tegorocznych wyborów i jej imponująca produkcja” – donosił podpis.

– To jest dopiero klasa! – podziwiał Szczur, wpatrując się w jaja. Pocięła mu ślinka na wspomnienie delikatnej skorupki, pod którą czekało jeszcze ciepłe żółtko. Obydwaj z Lalinkiem zapomnieli o Chickenie, który smutniał z każdą chwilą coraz bardziej. „Czyż przyjdzie mi w tym czarnym dole porzucić jakiegokolwiek myśli o przyszłości? – bił się z rozpaczą. – O własnym gnieździe, stadle, potomstwie?”

Kiedy Lalinek odwrócił się, żeby zagadnąć przyjaciela, ten miał dziób opuszczony na kwintę.

– Ej, Chicki, co z tobą? – przestraszył się Lalinek.

Smutek przyjaciela jeszcze dobitniej potwierdzał ich niekorzystne położenie. Szczur wprawdzie nie wyglądał na zbója, sprawiał raczej wrażenie roztargnionego oryginała, ale zawsze to Szczur. W genach miał zapisane krwiożercze apetyty. Lalinek martwił się. Jednocześnie gospodarz budził w nim szacunek i zaciekawienie.

Po pudle z gazetami zwiedzili jeszcze inne zakamarki rupiecniarni. Szczur zbierał nawet etykiety ze słoików, puszek, opakowań. Wszystkie starannie układał na kupki wedle tematu. Na przykład pikle miały swoją dokumentację, obok galaretki porzeczkowa, dalej ananasy i zielony groszek, herbatniki i lody, ryż i czekoladowe batony... Także instrukcje obsługi komputera, aparatu fotograficznego, telefonu komórkowego, łodzi motorowej i elektrycznej piły. I wiele, wiele innych. Prawie cały supermarket. Szczur przynosił je z sąsiedniego śmietnika. Traktował tę bibliotekę ze czcią. Służyła mu jako zbiór dowodów naukowych świadczących o poczynaniach Człowieka.

– Imponujące, proszę szanownych panów, jest to – komentował, oprowadzając dwójkę gości po swoim królestwie jak jakąś wycieczkę – że wszystko się zmienia. Na przykład jeszcze tak niedawno Człowiek chrupał z nudów popcorn, a teraz jakieś kartoflane wynalazki.

– Chi.. chi... chipsy – wyjąkał Chicki, powoli dochodząc do siebie.

– No ale zapomniałem zaprosić was na małą przegryzkę! – zawołał gospodarz i poprowadził wycieczkę w kąt, gdzie zapachniało zjełczałym tłuszczem.



Leżała tam owinięta w folię kanapka z plastrem salami na wierzchu.  
– Zapraszam, panowie, czym chata bogata – Szczur odwinął folię i zgłodniałe wciągnął powietrze.

Lalinka zatkało. Aby jednak nie robić Szczurowi przykrości, chwycił za plecak z maminym nektarem.

– Mnie wystarczy tylko to... – wytłumaczył się.

Gorzej było z Chickenem. Przeszłował z nogi na nogę nad śmierdzącą kanapką, której nawet wściekły głodny Kurczak się nie chwycił.

– Bufet gotowy. Dla każdego coś smacznego – zapraszał gospodarz, nie dostrzegając niechęci Chickena.

Biedny Chicki zamarzył nagle o fermowej wyżerce. „Och, kurza melodia, tam wcale nieźle dawali zjeść. No ale przecież ten dobrobyt rósł mi w dziobie” – odpędzał od siebie tęsknoty za życiem dla żarcia. Szczur, nie czekając na nikogo, pałaszował zeschły kawałek kiełbasy, którego tłuste oka zzołkły z nieświeżości na kolor kukurydzy.

Chicken rozejrzał się po jadalni. „O, widzę tu coś dla siebie” – zainteresował się przezroczystym woreczkiem z czymś, co przypominało ziarno. Woreczek łatwo dał się otworzyć. Na drugi rzut oka ziarno było trochę dziwne, lekko różowawe, ale żołądek Chickena skręcał się właśnie w paroksyzmie głodu. Nie namyślając się Chicken dziobnął jedno ziarnko, za nim drugie... „Ooooo, dlaczego te ziarna skaczą mi przed oczami jak robaczki świętojańskie...?” – pomyślał zaniepokojony i nagle poczuł, że jakaś siła zwała go z nóg. Otworzył dziób chcąc zawołać Lalinka, ale z gardła wydobył się zaledwie słaby syk. Chicken runął na worek z różowym ziarnem.





## Chicken znów w opatach

*N*ie pomagało sztuczne oddychanie ani potrząsanie skrzydłami, ani podnoszenie nóg w pomarańczowych skarpetach. Chicken nadal się trucizny i nie dawał znaku życia.

– Mam teraz pożegnać przyjaciela? – rozżalił się Lalinek po wyczerpaniu wszystkich znanych sposobów przywracania żywego ducha.

– Czuję się winny temu tragicznemu wypadkowi – tłumaczył przejęty Szczur drepcąc w kółko. – To ja przytaszczyłem truciznę z piwnicy. Ale w celach doświadczalnych! Miałem zaanalizować, jak jest silna – przekonywał załamanego Lalinka. – Skąd mogłem wiedzieć, że ktoś pomyli ją z ziarnem?!

Było mu niewymownie przykro. Czuł się odpowiedzialny za smutne zdarzenie, ale też był zły na Chickena, że bez pytania grzebał w jego gospodarstwie. Jednocześnie nie chciał się poddawać.

– Spróbujemy jeszcze płukania żołądka – zdecydował z energią młodzieńca. Wyglądał na dzielnego kapitana okrętu, który musi bronić załogi przed piratami. Do ostatka.

W okamgnieniu koło Chickena znalazł się zwój gumowego węża i lejek. Butla z wodą stała w drugim kącie pracowni. Szczur rozciągnął wąż i jeden koniec włożył do butli, polecając trzymać go Lalinkowi, żeby nie wypadł. Sam zaś wepchnął w dziób Chickena lejek i wpuścił doń drugi koniec rury. Buchnęło wodą. Nie minęła chwila, kiedy brzuch

Chickena wydał się jak piłka – to znaczyło, że wody jest dość. Szczur przerwał pompowanie i westchnął. „Jeśli to za późno?” – myślał gorączkowo. Nagle z dzioba Chickena chlusnęła fontanna.

– Dobra nasza – ucieszył się Szczur. – Pompujemy jeszcze raz.

Kiedy na dnie butli pokazało się dno, Chicken był już po uściskach radości Lalinka i surowej reprimendzie Szczura, który karmił go za jedzenie nie wiadomo czego. Sam dla siebie także był surowy: rzucił się na kanapkę, zamiast zająć gośćmi. Wszyscy jednak byli szczęśliwi. Specjalnie dla wycieńczonego Chickena Szczur przyniósł świeżą kolację ze śmietnika: nie dojedzoną paczkę kruchych ciasteczek z cynamonem.

– Wiesz, ja myślałem, że świat za siatką to kraina szczęśliwości – gdakał na ucho zasypiającemu Lalinkowi Chicken. – A tu, bracie, nawet na jedzenie uważaj.

– Jesteś rozzarowany? – szepnął Lalinek. Podobnie jak Chicken rozważał wypadki mijającego dnia.

– Coś ty! Tylko że ta wolność jest okropnie zagadkowa, Lali. Skąd mam wiedzieć, że ziarno to nie ziarno, tylko trucizna na gryzonie? A ty wiedziałeś? Wiedziałeś, co? – dopominał się odpowiedzi przyjaciela, ale ten już chrapał. „Chyba będę się musiał uczyć przez całe życie” – zapowiedział sobie. Po tym zdarzeniu wędrówka z Lalinkiem stała się dla niego jeszcze ważniejsza.



## Problem do rozgryzienia

Następnego dnia przyjaciele nie mogli się dobudzić. Spali w najlepszej sypialni Szczura – kuchence mikrofalowej. Lalinek przetaił szybę i popatrzył na pracownię. Brakowało mu słońca, ptasich plotek, chłodu wiatru, a nawet warkotu bestii. Podziemie rządziło się własnym rozkładem dnia i nocy. Nigdy jednak nie dochodziło tam światło.

Szczur właśnie urzędował na biurku przy zapalanej świecy. Wertował grube książki. Obok leżała rolka papieru; rozwijał ją, robiąc jakieś notatki grubym flamastrem. Na widok Lalinka przerwał pracę.

Nie jesteście ciekawi, nad czym tak pracował Szczur? Bo Lalinek ciekaw był bardzo.

Szczur odłożył mazak i usiadł wygodnie na klawiaturze komputera.

– My, Szczury, przegryziemy niemal wszystko. Nawet beton. Tylko ze stalą mamy kłopot. Tylko ona się opiera. I to mi nie pozwala spać – narzekał Szczur. – Zęby zjadłem na badaniach. Przegryzałem fundamenty domu, zwoje blachy, ceglany mur, najgrubsze kable. Nic wielkiego. To dla mnie fraszka. Ale ze stalą nie dają rady. Więc szukam jakiejś metody. Grzebię w najwyższej matematyce.

Lata upływały Szczurowi na eksperymentach i obliczeniach. Mierzył siłę nacisku zębów, grubość stali, mnożył, dzielił, podnosił do kwadratu. Liczył i liczył w nieskończoność. Ale nie było rady. Posiwał w trakcie tych poszukiwań. Codziennie budził się z myślą, że to cudowne nauko-

we odkrycie stanie się właśnie dziś. To go podtrzymywało na duchu. Sam przed sobą nie chciał się przyznać, jak bardzo kocha to oczekiwanie. Tę codzienną gotowość do łamania sobie głowy nad trudnym zadaniem. W gruncie rzeczy nie wyobrażał sobie dnia, gdy oto wszystko staje się jasne. Już rozwiązane. Bo co by robił nazajutrz? Jaki sens miałyby kolejny dzień? Koniecznie musiałyby znaleźć sobie nowy cel.

– No i wciąż szukam – mrucał przecierając okulary koniuszkiem ogona. Lalinek słuchał go z zainteresowaniem.

– A ja szukam KLUCZA DO SPRAWY – przypomniał nieśmiało. – Bez niego nie mogę wracać do Lalanii, bez niego nigdy nie zostanę dorosłym Lalinkiem.

– Hm, widzę, że nie ma żartów – Szczur pokiwał głową ze zrozumieniem. – Gdybyś jeszcze wiedział czego szukasz, a tak...? Szukasz KLUCZA DO SPRAWY. Ale jakiego KLUCZA i do jakiej SPRAWY? Oto jest pytanie.

– No właśnie – przyznał Lalinek. – To okropnie trudne.

Zamyślił się. Wyobraził sobie, jak będzie mu przykro, jeśli nie znajdzie KLUCZA. Czy będzie mógł wrócić do swojej kiści bzu? Co powie rodzicom? Czy będzie śmiał popatrzeć prosto w oczy swoim nauczycielom? I co powiedzą koledzy z sadu. Na pewno będą się z niego śmiać. Nazwą ofertą. Zadrżał na myśl o kpinach, jakie czekają go w razie porażki. A co najgorsze: nigdy nie wydorosłeje!

Szczur uważnie patrzył na Lalinka swoimi czarnymi paciorkami. Błyskała w nich życzliwość.

– Nie martw się – pogłaskał go po głowie, jakby przeczytał w niej wszystkie złe myśli i chciał je wypędzić.

Doskonale rozumiał Lalinka. Przypomniał sobie własne początki jako poszukiwacza. Tę niepewność, co przyniesie mu żywot pustelnika i czy to dobrze, że się nań zdecydował.

– Chcesz, Lali, wiedzieć, jak urządziłem się w tych podziemiach? – zapytał. Zdjął okulary i oparł się o rolkę papieru. – Dlaczego postanowiłem żyć sam?

Już dawno Szczur nie zwierzał się ze swojej historii. Miał tremę. Zawsze tak jest, kiedy opowiada się komuś swoje życie.



## Historia Szczura

**M**oje dzieciństwo w młynie trwało jak mgnienie oka – opowiadał Szczur. – Szczęśliwe dni są krótkie. Dłużą się te złe. W plemienu nie należałem do najsilniejszych. Rządziła rodzina wodza. Nasze stado, musisz wiedzieć, składało się z trzech kast: pierwsza – to wódz wraz ze świtą, druga – wojownicy, a trzecia – skazańcy. Skazańcy to najsłabsze Szczury w stadzie, najpodlej traktowane, z góry przeznaczone na zagładę. To one musiały jako pierwsze sprawdzać jedzenie, to ich żołdaki wodza posyłali do najbardziej niebezpiecznych zakamarków. I co najgorsze: w czasie głodu to właśnie skazańców wysyłano po żywność do pułapek. Musieli ją wyciągać i przeważnie ginęli na miejscu.

Paciorkowate oczy Szczura zapatrzyły się w przeszłość. Lalinek dłuższą chwilę rozmyślał nad tym, co od niego usłyszał. W końcu zapytał:

– To znaczy, że musieli ginąć, bo byli najsłabsi?

– Ha! – zachnął się Szczur. – Tak już jest w szczuroświecie. Ja należałem do wojowników. Ale nasz los wcale nie był dużo lepszy niż los skazańców. Kiedy wyprawy po żarcie mocno zdziesiątkowały ich szeregi, horda wodza wyznaczała do ich zadań któregoś z nas. Pewnego dnia wybór padł na mnie.

– Ojej! – zmartwił się Lalinek.

– Akurat wtedy po raz pierwszy zostałem ojcem. Moje Szczurki były jeszcze ślepe. Pamiętam, jak piszczwały w gnieździe; były takie nagie

i bezbronnie. A tu przyszedł żołdak z rozkazem: miałem wydobyć coś z pułapki. Pamiętam, że wychodząc obejrzałem się na żonę. Była młodą, naiwną Szczurzycą, pewnie nawet nie pomyślała, że mogę nie wrócić do domu. Pomachała mi ogonem, jakbym wychodził na spacer.

Pułapka stała w obszernej piwnicy. Wokół niej, w bezpiecznej odległości, zgromadziła się horda wraz z wodzem. Czekali jak na widowisko. Bo kiedy ja leżałbym już przedziurawiony zębami gilotyny, oni spokojnie wyciągnęliby jedzenie. Trzech doprowadziło mnie pod samą pułapkę. Była dość duża. Wewnątrz leżał kawał kiełbasy. Zemdliło mnie z głodu, bo w piwnicach Człowieka można było wtedy znaleźć co najwyżej kartofle. Wciągnąłem powietrze, żeby zyskać na czasie.

Spojrzałem w górę: gilotyna szczyrzyła kły. Jeden z żołdaków popchnął mnie. Potknąłem się i uderzyłem głową o drewniany podest. Poczulem kopnięcie. Za plecami horda wrzeszczała: „Bierz! Bierz!”. Wstałem i podszedłem do kiełbasy. Złapałem ją i już przymierzałem się do wyciągania, gdy nagle z góry posypały się kawałki czegoś twardego. Runęła na mnie jakaś lawina. Ale ja wciąż trzymałem kiełbasę. Po chwili poczułem, że wraz z czarnym gradem spadają zęby pułapki. W ostatniej chwili puściłem zdobycz i rzuciłem się do ucieczki. Dostałem w głowę i nie pamiętam, jak przetrwałem ten grad. Obudziłem się pod kamieniami, ogłuszony, z poranioną łapą – widocznie ona nie zdążyła w porę umknąć pułapce.

Dopiero teraz Lalinek spostrzegł, że jedna z łap Szczura ma tylko dwa pazury i kilka blizn.

– A co to były za kamienie? – zapytał Szczura.

– Węgiel. Człowiek właśnie wrzucał go do piwnicy. I to mnie ocaliło.

Szczur westchnął ciężko. Tak się wzdycha, kiedy opowieść ma za sobą pierwszą dramatyczną rafę. Na biurku zaległa cisza. Słychać było, jak w kuchence mikrofalowej rekonwalescent Chicken gdacze do siebie przez sen. Lalinek nie śmiał przerywać ciszy. Był bardzo ciekaw, co działo się w tym czasie ze Szczurzycą i Szczurkami, a jednak o to nie zapytał.

Gospodarz zmrużył powieki. „Opowiadać dalej, czy nie? – zastanawiał się. – Nie, nie będę przed nim krył prawdy, choćby była najokrutniejsza” – zdecydował.



– Wiele nocy i dni leżałem pod warstwą węgla, nie mogąc się porużyć – wznowił opowieść. – Ból rozdzierał mi nogę; krwawiła. Czułem silne pragnienie. Moje ciało drętwiało i schło na wiór. Zesztywniał mi ogon. Czułem, że ucieka ze mnie życie. Już nawet nie myślałem o bliskich. Zasnęłam i budziłam się jeszcze słabszy. W końcu prawie wcale nie przytomniałem. Powoli żeglowałem na szczyrzą wyspę wiecznego snu.

Lalinek podciągnął kolana pod brodę i przyłożył do nich rozgrzany policzek. Nie mógł się doczekać końca tej wstrząsającej historii.

– Odpływając usłyszałem tuż nad głową ludzki głos: „Patrz, tatku, tu coś jest!”. Chciałem otworzyć oczy, ale nie mogłem umieść powiek. Domyśliłem się, że ktoś rozgarnia bryły węgla i wreszcie moje sponiewierane ciało poczuło się lekkie. Mimo to nie mogłem się ruszyć. „Nie dotykaj, synu, to jakaś padlina – powiedział gruby głos, który zabrzmiał w piwnicznej ciszy jak uderzenie w bęben. – Weź ją na łopatę i wyrzuć do ogródka”. Haust świeżego powietrza omal mnie nie udusił. Wylądowałem sztywny jak kawałek drewna na stercie suchej trawy.

Widocznie miałem żyć. Pomogły mi Mrówki, które przechodząc przeze mnie całymi brygadami robiły mi ożywcze masaże. Moje ciało powoli budziło się do życia. Paraliż ustawał. Rana się goiła.

Pewnie jesteś ciekaw, co stało się z moją rodziną...

Kiedy dowlokłem się do zakamarka piwnicy, gdzie dawniej znajdowało się moje gniazdo, zobaczyłem jedynie hałdę żwiru. Ani śladu po żonie i maluchach. Szukałem ich tygodniami. Rozpytywałem. Tylko Nietoperz podzielił się ze mną skąpą wiadomością: pewnego wieczora widział ze strychu, jak Szczury z mojego plemienia uciekają w kierunku rzeki. Więc szukałem na nabrzeżu. Bezskutecznie. Napotykałem jedynie jakichś obdartych włóczęgów, przemykających pod osłoną nocy jak cienie. Szukali zaczepki, gotowi wyrwać drugiemu nawet śmierzdzący ochłap. Wyglądali na banitów wyrzuconych ze stada za przestępstwa, na znajdy pozostawione przez matki i wychowywane w bandach na głupawych rzezimieszków. Może byli to także skazańcy, którym udało się jakimś cudem uniknąć gilotyny, ale za to popadli w szaleństwo. Nabrzeże śmierdziało zepsutą rybą, rzeczonym mułem, a w jego zaułkach królowało prawo pazura i kła. Uciekłem stamtąd.

Pewnego dnia zrezygnowałem z poszukiwań. Przyszło mi nawet na myśl, że w istocie wcale nie chcę wracać do stada. Pewnie nie rozumiesz, dlaczego... Bo ono skazało mnie na gilotynę, wiesz? Ja mógłbym to jakoś wybaczyć... Ale wódz skazuje na śmierć wszystkich słabeuszy. Czy to sprawiedliwe? Czy ktoś, kto jest słabszy niż inni, nie ma prawa żyć? Dlatego wybrałem samotność. Zakotwiczylem w tym oto wielkim domu Człowieka. Mam własną pracownię, badania naukowe, archiwum. I wielki cel: przegryźć stal. To mnie podtrzymuje na duchu i dawno już pozwoliło pogodzić się z losem.

Lalinka aż ścisnęła w żołądku. Nie wyobrażał sobie takiego pustelniczego życia. Przypomniał mu się rodzinny sad.

– I nie zamieniłbyś takiego życia na inne? – zapytał.

– Jestem szczęśliwy. Swoich spotykam na śmietniku. Kiedy byłem młodszy, prowadziłem tu szkołę dla zdolnych Szczurków. Dziś kilku z nich, prawie tak wiekowych jak ja, wpada do mnie od czasu do czasu na naukową pogawędkę. Jestem stary, Lali, i niewiele czasu pozostało mi na osiągnięcie celu. Nie mogę go tracić na byle co.



## *Nowi przyjaciele*

Szczur obiecał Lalinkowi, że pomoże mu w poszukiwaniach KLU-CZA DO SPRAWY. Lalinek głęboko odetchnął. Nie był sam. Mógł liczyć na pomoc prawdziwego myśliciela. Przedtem jednak gospodarz zwołał naradę. Pierwszy przyszedł na nią Mól.

Mól był asystentem Szczura. I mózgiem pracowni: archiwistą, spisem treści, bazą danych. Znał cały księgozbiór Szczura, wszystkie jego notatki, pamiętał najmniejsze nawet podkreślenie, słowem – działał jak komputer.

Kiedy Lalinek zobaczył go po raz pierwszy, Mól właśnie przedzierał się przez kartki opasłego skryptu. Od tygodnia przesiadywał w nim, ucząc się matematycznych wzorów. Gramolił się właśnie na sam grzbiet, żeby zeskoczyć na biurko. Kaszłał przy tym z powodu pyłu, który przez lata gromadził się na kartach ksiąg. Coraz gorzej go znosił. Był już niemłody. Przygarbił się od pochylania nad tomami, a jego chude nożyny, nie przyzwyczajone do częstego chodzenia, potykały się raz za razem. Po prostu wyglądał na mocno zakurzonego.

– Profesorze, co za wzory!?! Profesor nawet nie ma pojęcia! Cudo! – głos z trudem pokonywał zadyszkę. Mól cierpiał na astmę. – Uporządkowałem w głowie według alfabetu. Może profesor sprawdzić. Wzór na przegryzienie betonu? Proszę bardzo: tysiąc osiemset pięćdziesiąta szósta szara komórka w lewej półkuli. Otworzyć?

Szczur spoglądał na Mola z cierpliwym uśmiechem. Cenił tego książkowego entuzjastę. Nie tylko za fenomenalną pamięć, ale także za inteligencję, która pomagała wiązać ze sobą wszystkie mądrości, poza tym wdzięczny mu był za wieloletnią, jakże oddaną, asystenturę. Lepszego towarzysza naukowych poszukiwań nigdzie by nie znalazł.

– Och, przepraszam najmocniej, profesor ma gościa – zauważył z galanterią Mól i słaniając się po swojemu podszedł do Lalinka.

Prezentacja gościa wprowadziła Mola w gorączkowe wertowanie zasobów pamięci: penetrował wiadomości na temat Lalanii przez okrągły kwadrans. Z transu obudził go Szczur.

– No i widzisz, Molu, jest nowy problem do rozwiązania: nasz gość szuka KLUCZA DO SPRAWY. Rusz głową, kochany. Czy my coś wiemy na ten temat?

Mól zamknął oczy i ponownie zanurzył się w swoje archiwum. Tym razem szukał dłużej niż kwadrans.

– Nic takiego nie mamy, profesorze, przeszukałem dosłownie wszystko. Nawet wierszyki ze swojej pierwszej czytanki i wszystkie przepisy na pizzę – oznajmił z niedowierzaniem. – Na ten temat nie mam dosłownie nic!

Sam nie mógł w to uwierzyć, a jednak hasła KLUCZ DO SPRAWY w jego głowie nie było.

Nieco spóźnieni przyszli jeszcze: Kornik wraz ze swoją przyjaciółką Ćmą. Byli bliskimi sąsiadami. Obydwoje mieszkali w windzie – Kornik w drewnianej ramie lustra, Ćma na suficie za żarówką.

– Hihhi – chichotała na przywitanie Ćma i trzepotała skrzydłami. – Co za ważny powód do zebrania, profesorze? Kornik wyciągnął mnie z najlepszej zabawy. Akurat wkręcili nam w windzie nową żarówkę. Mówię wam, cóż za iluminacja! Blask porażający pięknem. Niech się schowa Księżyc. Właśnie w jej świetle tańczyłam walca z figurami, kiedy Kornik przerwał mi zajęcia. A ja przecież pracuję nad nowym układem choreograficznym i muszę ćwiczyć, czyż nie tak? Pan mnie rozumie, profesorze, prawda?

– Hmmm, wie pani... – chrząknął uprzejmie Szczur.

Ćma zagadałaby chmarę oratorów, a co dopiero to nieliczne towarzystwo naukowe. Wciąż trzepała skrzydłami i językiem. Przypominała rozbrykaną nastolatkę, a nie primabalerinę na emeryturze. Wszystko dlatego, że przeżywała właśnie drugą młodość. Kornik natomiast był cichym, małowównym jegomościem. Przyjaźnił się z Ćmą, bo lubił jej paplanie, a także taniec, w którym płaśała każdego wieczoru. Ten codzienny balet był dla niego rozrywką po monotonnym dniu spędzonym na stolarce. Kiedy nie mógł wtrącić do potoku słów Ćmy nawet jednego zdania, uśmiechał się z rezygnacją, pokazując szczerbate, ostre jak szpilki zęby, którymi od lat rzeźbił wewnątrz lustrzanej ramy. Ćma nigdy mu nie powiedziała, że tańczy specjalnie dla niego. Że dla niego wymyśla te akrobatyczne niemal figury. Dlaczego to skrywała? Nie wiadomo. Jedno jest pewne: bardzo bliski jej był ten mruk z sąsiedztwa.

– Kochana Ćmo... – Kornik zaczął, żeby sprowadzić przyjaciółkę na ziemię, lecz i tym razem bezskutecznie.

Nagle kłapnęły drzwi kuchenki mikrofalowej. Zgromadzeni obejrżeli się. Za nimi stał Chicken.

– Chicki, jak się masz? – podbiegł do niego uradowany Lalinek, ale zaraz cofnął się.

Chicken wyglądał strasznie. Dziób otwarty, brązowe oczka zapadnięte, szyja nabrzmiała koralami. Skrzydła podniesione jak do ataku na ringu. Pazury krogulczo rozwarte. Wypisz, wymaluj: jastrząb gotów do napaści na ofiarę.

– Żreć, żreć! – wysyczał.

Towarzystwo oniemiało. Nawet Szczur stracił rezon. Ćma schowała się za plecami Kornika, ale Chicken dostrzegł ją.

– Żreć! – wykrzyknął w amoku i ruszył prosto na nią.

Ćma wczepiła się w Kornika i już byłoby po nich, gdyby nie zadyszkowy głosik Mola dobiegający spod grubego skryptu:

– A ja jestem tutaj! Szukaj!

Chicken zatrzymał się i spojrział jak szaleniec, tym razem na Mola. Ta jedna chwila wahania potrzebna była Szczurowi, by wkroczyć do akcji. Odwrócił się, podniósł ogon i zakręcił nim tak, jak prawdziwy

kowboj kręci lassem. Po chwili ogon złowił szyję Chickena i wmurował go w podłogę.

Chicken omdlał. Lalinek zaciągnął go z powrotem do kuchenki i ułożył do snu.

– Co mu się stało? – dopytywał się Szczura, który kończył właśnie wyjaśnianie zdenerwowanym gościom, a szczególnie Ćmie, kim są nowi lokatorzy pracowni.

– Myślę, że to skutki zatrucia – stawiał diagnozę Szczur. – Obudził się w nim zwariowany Kurczak i tyle. Druga natura. Ale to minie, nie martw się. Musi tylko długo spać.

Wreszcie mogli rozpocząć naradę dotyczącą KLUCZA DO SPRAWY. Przypominała naradę wojenną albo zebranie uczestników wyprawy w Himalaje. Postanowili szukać KLUCZA na wszystkich stu dwudziestu piętrach domu.

– Sto dwadzieścia pięter do przejrzania. Bagatela. Ale nic innego nam nie pozostało – westchnął Szczur i spojrzał na Lalinka.

Ten uśmiechał się do nowych przygód.



## Początek poszukiwań

P ostanowili wjeżdżać na górę windą. Winda miała być głównym obozem poszukiwaczy – punktem kontaktowym i miejscem narad. Mól z Lalinkiem chowali się za wystającą ze ściany listwą, Szczur za półką na zakupy. Ćma miała oko na wszystko ze swojego mieszkanka na suficie. Kornik mógł obserwować twarze pasażerów windy w lustrze. Chickenowi Lalinek zostawił list: „Kuruj się, Chicki, na razie zdobywamy górę”.

Lalinek nie miał pojęcia, ile dzieje się na piętrach domu. „Kraj Człowieka jest naprawdę ludny i ciekawy” – myślał, wędrując z przyjaciółmi po piętrach. A ileż historii mogłaby opowiedzieć sama winda, gdyby oczywiście chciała? Ludzie wsiadali doń i wysiadali. Zawsze coś w niej gubili: spojrzenia, westchnienia, czułe słówka, napomnienia; rymy, tezy, anegdoty; oczka w pończochach i rękawiczki; puderniczki, szminki, rachunki z restauracji, drobne monety. Czasem rysowali na lustrze serce przebite strzałą. Rozmawiali przez telefon. Kłócili się i godzili. Płakali i śmiali się.

Winda bardzo napęczniała od tych historii i miała się wrażenie, że nowej już nie udźwignie. „Dość już tego dobrego” – sarkała i czasem zdarzyło się jej zatrzymać na półpiętrze. Musiała odpocząć choćby przez chwilę. Ale pasażerom wciąż się spieszyło i wołali mechanika.

Mechanik oliwił maszynę, co trochę poprawiało windzie humor i znów pracownicy mogła ciągnąć w górę i w dół.

Mijały dni. Poszukiwacze wciąż penetrowali piętra. Zaglądali do mieszkań, a w nich do szuflad, spiżarni, kredensów, dziecinnych pokojów, szkolnych zeszytów, a nawet do szaf z butami. Owszem, znajdowali różne klucze. Ale przecież żaden z nich nie był KLUCZEM DO SPRAWY.

Kiedy pewnego ranka do windy przyturlało się jabłko, Szczur bąknął coś o pełni lata. Jego także ciągnęło choćby pod śmietnik, koło którego zwykle o tej porze roku kwitły w gazonach różowe i fioletowe astry. Ale szybko wymiół z głowy myśl o przerwaniu wędrówki i jakichś wakacjach. Od czasu do czasu wpadał tylko do pracowni i doglądał śpiącego Chickena. „Lalinek tak bardzo liczy na naszą pomoc, nie możemy go zawieść” – tłumaczył Molowi.

Lalinek oglądał jabłko z zaciekawieniem. Nie mógł się nadziwić, jak skromny kwiat jabłoni może przeistoczyć się w taki dorodny owoc. „To wielka tajemnica pęcznienia” – krótko objaśnił mu Szczur. Na dogłębne wyjaśnienia nie miał czasu. Jako szef wyprawy pilnował kolejności odwiedzanych mieszkań i dyktował Molowi swoje refleksje, które ten zapisywał w szarych komórkach.

Mijały dni. Wszyscy byli zmęczeni. Ćma nie miała już siły tańczyć walca, Kornik ledwo godził stolarkę z funkcją obserwatora twarzy w lustrze. Mól przygarbił się jeszcze bardziej. Lalinek liczył piętra. Zostało ich jeszcze z sześćdziesiąt. Ale żaden z członków wyprawy nie myślał o dezercji.





## Duszachora czy duszasama?

Pewnego wieczora zobaczyli Chłopca. Leżał w łóżku i płakał. Oczy miał zamknięte. Ćma podleciała blisko jego twarzy.

– On śpi, ale chyba męczy go jakiś sen – zaraportowała przyjaciółom po zwiadzie.

Rzeczywiście, Chłopiec kręcił się, machał rękami, jęczał.

– Nie, nie, nie strzelajcie do Zająca – wykrzykiwał zduszonym głosem.

Lalinka przeraził ten widok. Na twarzy Chłopca malował się strach. Z czoła spływały krople potu.

– On tu jest całkiem sam – szepnął Mól, który zdążył oblecieć to smutne mieszkanie na sześćdziesiątym trzecim piętrze. – Co mu się stało?

Wszyscy spojrzeli na Szczura jak na wyrocznię. Ten z powagą poprawił na nosie okulary i spojrział na Chłopca z półki na książki.

– Ja go nie mogę dogonić, nie mogę, wierzcie mi, ale się staram – jęczał Chłopiec, zrzucając z siebie kołdrę.

– O tempora! – mruknął Szczur. – To pewnie jakaś poważna choroba. Hm, może to duszachora?

– Duszachora? – powtórzyli z przejęciem poszukiwacze.

– Czyli, profesorze, co? – odezwał się Mól.

– Albo duszasama – mówił, nie słuchając nikogo, Szczur. Właśnie bardzo intensywnie myślał. – Że duszachora, to wiem na pewno.

Widać gołym okiem. Tylko Człowiek chory na duszy tak śpi. Ale czy to konkretnie choroba pod nazwą duszasama...? To musiałbym zbadać.

– Profesorze, a Zając... Co za jeden? Zastanawiające – dopytywał się asystent.

Napędce zwołane przy łóżku chorego konsylium zdecydowało, że powrócą tu z wizytą. Choroba wymagała dłuższej obserwacji.

Następne dni przynosiły nowe znajomości.

Na sześćdziesiątym dziewiątym piętrze mieszkał pan Beka z rodziną.

Pan Beka dźwigał z przodu wielki brzuch, a na plecach beczkę. Beczka niemal przygniatała go do podłogi. Lalinek jeszcze nie widział takiego nieszczęśnika. Los pana Beki najbardziej jednak poruszał jego żonę. Przyjaciele słyszeli, jak nie raz błagała: „Mój kochany, nie pij więcej, zrób to dla nas – dla mnie i naszych dzieci. A przede wszystkim zrób to dla siebie”. Czasem, kiedy pan Beka twardo spał, otwierała wieko beczki i odlewała kilka litrów, żeby następnego dnia było mu trochę lżej. Nic z tego. Pan Beka szybko wyrównywał ubytek. Zapędził się już tak bardzo, że brzuchem niemal sunął po podłodze i w windzie mógł policzyć wszystkie ziarenka piachu naniesione przez buty pasażerów.

Na siedemdziesiątym ósmym piętrze mieszkał pan Żelazko. Urodził się z magnesem w środku. Bardzo się męczył, żeby siłą woli powstrzymać się od przyciągania. A mógł przyciągnąć wszystko – czasem więc wyglądał jak tragarz żelastwa. Jego żona bardzo się go wstydziła. Kornik słyszał, jak pewnego razu robiła mu wymówki w windzie, kiedy wracali z przyjęcia u znajomych.

– Mówiłam: nie siadaj blisko dziecinnego pokoju. Cała kolejka wąskotorowa się do ciebie przykleiła. Taki wstyd, taki wstyd – biadoliła szczerwieniła ze złości. – A potem te miski z kredensu... Że nie wspomnę o wieszaku z garderoby. Widziałeś, jak patrzyli na nas goście?

– Tylko na chwilkę się zapomniałem, wybacz, przecież nie mogę wciąż myśleć o moim magnecie – kajał się pan Żelazko.

Mógł powstrzymać swój magnes przed przyciąganiem, ale zdarzały mu się chwile nieuwagi. Z drugiej strony miał swoje niepodważalne zalety: nikt nie potrafił uruchomić naraz wszystkich alarmów w autach,

kiedy przez parking przebiegała gromada złodziei samochodów – tylko on. Sam Miejski Strażnik wręczył mu za to list pochwalny. Pani Żelazko to jednak nie zadowalało.

Lalinkowi było żal pana Żelazko. Zastanawiał się na głos:

– A ten jego magnes? Przecież on nikomu nie szkodzi.

– Każdy ma jakiś magnes – kiwnął głową Szczur.





## Spokojny Sen

Wieczorem poszli do Chłopca. Znow spał zlany potem. Znow majaczył. Szczur tym razem miał pomysł.

– Molu, czy my mamy telefon do Spokojnego Snu? – zapytał energicznie swojego asystenta.

– Chwileczkę, chwileczkę, szara komórka numer osiem tysięcy dwieście pięćdziesiąt cztery. Proszę uprzejmie – Mól błyskawicznie otworzył archiwum.

Ćma po raz pierwszy od wielu dni zatrzepotała skrzydłami z zadowolenia i pogłaskała Kornika po głowie.

– No, wreszcie coś się dzieje! – cieszyła się.

Wszyscy usadowili się pod łóżkiem, czekając na Spokojny Sen. Lalinek był podekscytowany, ponieważ nigdy nie miał do czynienia z kimś takim. Stuknęły drzwi. Ale to nie był spodziewany konsultant. Weszli Rodzice Chłopca. Kłócili się. „Zapytaj Chłopca, czy jadł” – rozkazał męski głos.

– O to przeważnie pytają go Rodzice – zatrzepotała Ćma. – O nic więcej. Wciąż się spieszą, późno wracają.

Po chwili do pokoju zajrzała Matka. Nie zauważyła, że Chłopiec zrzucił z siebie kołdrę i nadal się wierci. „Już śpi” – rzuciła w głąb mieszkania i zamknęła drzwi.

Księżyc na dobre wstał na nocną służbę, kiedy przyszedł Spokojny Sen. Zrobił wielkie wrażenie na Lalinku. Was też by pewnie oczarował.

Wyglądał na koronkową albo muślinową tkaninę delikatnie łopocącą na wietrze. Tkanina drgała i roztaczała wokół siebie zapach łąki, lasu i strumienia. Pachniała świeżo skoszona trawa, lilia wodna, dzika mięta. Cóż to była za woń?! Lalinkowi zamykały się oczy. Najchętniej przytuliby się gdziekolwiek i zasnął.

Ćma przyglądała się gościowi z zainteresowaniem. Zaciekał ją – jako tancerkę – ruch powiewania, jaki wykonywał Spokojny Sen. A kiedy usłyszała jego głos, zastygła w zachwycie. Nic dziwnego: zabrzmiał jak kołysanka na wiatr w listkach osiki, leśne dzwonki i plusk strumyka.

– W czym mogę pomóc, profesorze – zaszemrała zwiewna postać i skłoniła się towarzystwu.

– Szanowny panie, mamy dylemat – z wielką atencją zwrócił się do przybysza Szczur. – Otóż, ten oto Chłopiec bardzo źle sypia. Czy zechciałby pan na niego zerknąć?

Spokojny Sen podpłynął do łóżka Chłopca i pochylił się. Trwał tak kilka chwil. Przysłuchiwał się urywanym zdaniom, słowom, które wypadały z jękiem, bez ładu i składu. Zaglądał w twarz – wciąż była skrzywiona.

– Spróbuję otulania – rzucił melodyjnie.

Tym razem wyglądał jak koronkowa mgła. Mgła pląsała nad Chłopcem. Muskała go, otulała, gładziła, wachlowała. I wciąż nasłuchiwała, czy też jego oddech nie ucisza się. Niestety, nadal był niespokojny. Zgromadzeni przy łóżku poszukiwacze KLUCZA westchnęli z zawodu.

– Przykro mi, drodzy państwo, ja tu pomóc nie mogę – zaszemrał Spokojny Sen. – Wydaje mi się, profesorze, że trzeba dotrzeć do samych źródeł.

– Duszachora albo duszasama – odezwał się Mól.

– Albo jeszcze coś innego – zanucił gość.



## Tajemnica Chłopca

M yśl o Chłopcu nie dawała Lalinkowi spokoju. Męczył Szczura, wypytując o przyczyny złego samopoczucia mieszkańca sześćdziesiątego trzeciego piętra. Wrócił do niego przypadkiem następnego dnia. Tym razem Chłopiec nie spał. Wpatrywał się w srebrny ekran komputera.

– Zaraz cię dopadnę – wykrzykiwał zapamiętałe do uciekającej małej figurki. Był zziązany. Na policzkach wykwitły mu rumieńce. Oczy lśniły gorączkowo.

Lalinek podszedł do biurka Chłopca, podskoczył i usiadł mu na ramieniu. Lalinki potrafią to robić niezauważalnie. Na ekranie uciekał Zając. Lalinek domyślił się, że Chłopiec goni go za pomocą niewidzialnej broni. Ta broń strzela do uciekiniera za każdym zakrętem. Zając fika koziółki, chowa się, podskakuje. Jeszcze umyka, ale jego pozycja jest stracona.

– Pif-paf, mam cię! – wykrzyknął Chłopiec i po raz kolejny strzelił do swojej ofiary z niewidzialnej procy.

– Ojej, biedny Zając – pomyślał Lalinek. – Dlaczego Chłopiec chce go zabić?

Zając znów umykał, ale prześladowca wcale nie tracił ochoty do pościgu.

– Jeeest! – wykrzyknął Chłopiec.

Lalinek zerknął na ekran: Zająca tam nie było. „Gdzie się podział?! – zastanawiał się gorączkowo. – Może się schował? A może zwicznął nogę i trzeba go ratować?”

Tymczasem Chłopcu trzęsły się ręce. Oddychał głośno, jak po jakiejś walce. Ale to nie była niewinna bitwa, taka jak ta na kasztany, stoczona niedawno z kolegami na boisku do koszykówki, o nie.

Lalinek uważnie przyglądał się srebrnemu ekranowi. Był teraz pusty i niemy. „Muszę koniecznie zajrzeć do środka” – postanowił Lalinek. Kiedy ekran zaśnił ponownie, zobaczył znany mu już murek i gotującego się do biegu Zająca. Wtedy zdecydował się na niebezpieczny krok. Zamknął oczy i rzucił się w rozjarzoną przestrzeń.





## W dolinie duchów

Leciał i leciał. Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że znajduje się w białym obłoku. Wam przypominałoby to z pewnością zamieć śnieżną. Wokół Lalinka wirowało mnóstwo jedynek i zer. Trącały go niczym ostre lodowe gwiazdki. Wiały w oczy, szczypały w policzki. Jedyнки zaczepiały się o niego jak haczyki albo malutkie kotwice, zera potrafiły pętać mu nogi, a czasem wskakiwały na szyję jak hula-hoop. W końcu zamieć się rozsypała i Lalinek znalazł się na murku. „To ten sam murk, na którym widziałem Zająca” – stwierdził. W oddali zauważył parę wystających uszu.

– Halo, halo, a kto ma takie ładne uszy? – rzucił przyjacielsko w przestrzeń.

Uszy poruszyły się i po chwili wychyliła się mordka Zająca.

– Jak się cieszę, że jesteś cały i zdrow! – ucieszył się Lalinek i aż podskoczył na powitanie.

Zając kicnął nieśmiało i wybałuszył na przybysza orzechowe oczy.

– Kim jesteś? – zapytał wciąż ruszając nozdrzami.

– Nazywam się Lalinek.

– Czy ty jesteś z naszej gry?

– Z jakiej gry? Ach, to, że Chłopiec do ciebie strzela, to jest gra?

Zając popatrzył z politowaniem na Lalinka i przykicał bliżej.

– Wiedziałem, że ty nie jesteś z naszej gry – stwierdził rezolutnie.

– Więc skąd się tu wzięłeś?

Lalinek spojrział na Zająca. Ten drżał ze zmęczenia. Nic dziwnego: z takim trudem umknął Chłopcowi.

– Przybyłem... stamtąd – chciał pokazać Zającowi kierunek, z jakiego go tu przywiało, ale tylko obrócił się bezradnie wokół własnej osi. Nie wiedział przecież, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy ta śnieżna zamieć.

Zając pokręcił głową nad zagadkowym przybyszem.

– To ty nie jesteś stąd – powtórzył wolno i stanął słupka. Wyglądał jakby się nad czymś zastanawiał.

– Jestem Lalinek z Lalanii, to znaczy z bardzo daleka – tłumaczył Lalinek. – Widziałem, jak uciekałeś przed strzałami Chłopcowi. Nagle spadłeś z murku. Zmartwiłem się, że coś złego ci się stało, i dlatego przybiegłem na pomoc.

Zając rozejrzał się wokół niespokojnie, nerwowo wciągał powietrze, ale wokół nie było nikogo. Bezruch. Powietrze stało martwe, jakby nigdy nie biegł tamtędy żaden ścigany. Zając wyglądał na wzruszonego wyznaniem Lalinka. Opadło mu nawet jedno ucho. Nabierał zaufania do tego dziwnego gościa zza granicy gry.

– Widzisz, ja mieszkam w grze – wyjaśniał. – A gra to gra. My uciekamy, a Chłopiec nas goni.

– Nas? – przerwał mu Lalinek. – To jest was więcej?

– Och, to bardzo skomplikowane. Kiedy wszystko się zaczyna, wyskakuje na murek jakiś mój krewny i ucieka tak długo, jak potrafi. W końcu opada z sił i przestaje być czujny. Wtedy dopada go strzał i po nim.

Zając znów popatrzył badawczo na martwą przestrzeń wokół murku. Postawił uszy.

– I wtedy – kończył myśl – czeka go przepaść.

– Przepaść? – spytał zaintrygowany Lalinek.

– Wpada w nią i tam kończy się jego udział w grze. Na murek wyskakuje inny mój krewniak i gonitwa zaczyna się od początku. O, to właśnie tu – Zając wychylił się i spojrział w dół. – Brrr, wolę na to nie patrzeć...

Lalinek zobaczył głęboką przepaść z ostro zarysowanym skalistym zboczem. Na dnie leżały białe kamienie ze sterczącymi kępami białawych podłużnych liści. Przypominały przyprószone pyłem meksykańskich wertepów agawy.

– Hop, hop – krzyknął Lalinek, żeby usłyszeć echo. – Jest tam ktoś? Nagle jedna z kęp poruszyła się delikatnie, choć nie było wiatru. Zaraz za nią druga. I trzecia. Kamienie też przestały leżeć jak martwe głazy. Lalinek patrzył urzeczony: cała dolina ożyła. Kamienie ruszały się, zaczęły nawet podskakiwać. Nie, to nie były kamienie. To były postaci odziane w białe płócienne woreczki, a z każdego z nich wystawała jak antena para uszu. Zaroiło się ich bez liku. Tysiące. Kicały, stawały słupka, potrącały jedna drugą.

– A to kto? – zapytał Zająca Lalinek.

– To zajęcze duchy – oznajmił z powagą Zając. – Duchy moich krewniaków. Tych, co spadli z murku na zawsze.

– I to wszystko przez Chłopca? – pytał dalej Lalinek mocno poruszony tym, co zobaczył.

– Przez przepaść – objaśnił Zając. – Gdyby nie ona, nie mieliby gdzie wpaść. I po kłopotcie – dowodził wciągając powietrze.

– Ojej, i co ty na to? Ty przecież także możesz tam skończyć – indagował niepocieszony Lalinek.

– Pewnie, że nie chcę być duchem – stwierdził buńczucznie Zając – ale jak to zrobić?

Białym uszatom woreczkom znudziło się chyba baraszkowanie w kotlinie. Postanowiły wdrapać się na górę. Gramoliły się, mimo śliskiego zbocza. Wkrótce obsiadły murek i okolice. Przestrzeń kipiała teraz jak mleko na zbyt dużym ogniu. Lalinek nie mógł uwierzyć, że duchów jest aż tyle. Wszystkie patrzyły na niego z ciekawością, bo za życia nie widziały nikogo takiego w swojej grze. Niektóre nawet zaczęły trącać Lalinka nosami.

– Chyba mają do ciebie zaufanie – ucieszył się Zając. – Im już nie można pomóc. Przepadło. Ale innym moim krewniakom... – zastanawiał się, czując, że w tym przybytku zza granicy gry drzemią świetne pomysły. A nuż to posłaniec odmiany zajęczego losu?

– Zaraz, zaraz, Zającu, pytasz, czy można wam pomóc... – myśli Lalinka wpadały na ważne tropy.

Sam ich właściciel ugiął się jednak pod ciężarem nowej misji. Stał bezradny, rozważając trudną sytuację. Uszate woreczki zagłądały mu

w oczy przyjaźnie albo podskakiwały jak na trampolinie, śmiesznie machając uszami. A on myślał i myślał.

„Chciałbym wiedzieć, co teraz robi Szczur i reszta” – zastanawiał się Lalinek. Zatęsknił do Chickena, Ćmy, Kornika. Gdyby oni tu byli... A tak musi martwić się sam.

Nagle przestrzeń pojaśniała, jakby ktoś podniósł rolety. Duchy rozpierchły się. Lalinek obejrzał się: zobaczył wyraźnie twarz Chłopca.

– Zaczyna się! – szepnął żałośnie Zajęc. Zamierzał właśnie skoczyć na murek.

Lalinek schowany za załomem obserwował Zajęcą. Nagle i w jego głowie pojaśniało.

– Hej, Zajęc, nie pokazuj się Chłopcowi – wyszeptał pośpiesznie.

– Muszę – odpowiedział przerażonym piskiem Zajęc i już przyczał się do skoku. – Gra się rozpoczęła.

– Siedź i nie ruszaj się! – rozkazał stanowczo Lalinek.

Miał plan i był zdecydowany go przeprowadzić. Zajęc drżał cały, ale nie wystawił nawet kawałka ucha. Po drugiej stronie murku twarz Chłopca wykrzywiła się w irytacji. Nie mógł grać, bo nie miał kogo ścigać. Lalinek z Zajęcem widzieli, jak macha rękami, trze policzki, wygraża pustemu murkowi. Wreszcie poddał się. Ich przestrzeń znów przykrył półmrok, jakby ktoś zasłonił rolety. Znów zastygła w bezruchu.

– Ależ się bałem – zwierzył się Zajęc oszołomiony rozwojem wypadków. Nie dowierzał, że można się zbuntować i nie wyjść na murek. – Ale udało się! – podskoczył do góry jak sprężynka.

Z przepaści dobiegły ciche okrzyki: Huraaa!

– To na twoją cześć – uprzejmie poinformował Lalinka i popatrzył na niego z podziwem jak na jakiegoś pogromcę.

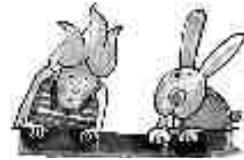
Lalinek uśmiechał się skromnie. Sam był oczarowany tym zwycięstwem.

– Co tam! – machnął ręką. – To wcale nie było trudne.

Rozkicana gromada zajęczych duchów znów obległa murek. Zajęcze serca – choć w uniformach, jakie przysługują istotom z przepaści – biły teraz z bezmierną wdzięcznością dla dzielnego obcokrajowca.

Lalinek postanowił iść za ciosem.

– Już wiem, co zrobić – ogłosił rzeszy krewniaków i woreczków. – Powiemy Chłopcowi, co myślimy o jego grze.



## Bunt krewniaków

Duchy wyglądały teraz jak stado drzemiących Owiec. Ale to tylko pozór. Były czujne i gotowe do wykonania zadania. Obok nich czekali krewniacy Zająca. Tłok był taki, że nie wcisnęłyby się igły.

Wkrótce podniosła się roleta i pojaśniało. Znak, że Chłopiec znów rozpoczyna grę. Wyobraźcie sobie, jak mruga niecierpliwie powiekami, a czubek nosa czerwieni mu się z podekscytowania. Znów dawał sygnał do gonitwy. Czekał niecierpliwie, aż Zając wskoczy na murek. Nic z tego. Zająca nie było. Grymas wściekłości wpełzł na policzki Chłopca. Zamknął oczy, zacisnął powieki, jakby chciał zaczarować ekran. Kiedy je otworzył, na murku roiło się od białych uszatyh woreczków i Zającey. Chłopiec zagapił się, nie rozumiejąc, co się dzieje. „Co to?! Tego nie było w mojej grze. Co za śmieszne kłębki...” – pomyślał.

– Dlaczego nam to robisz? – nagle dobiegło z ekranu. – Dlaczego nas ścigasz?

Twarz Chłopca zamarła. Był zaskoczony. Oszołomiony. Otworzył usta i z kącików pociekła mu ślina. Nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– Dlaczego po prostu nie pobawisz się z nami w chowanego? – pytał dalej chór.

– Bo..., bo ja nie umiem – wybąkał wreszcie Chłopiec.

Białe kłębki i Zające dwoiły i troiły mu się w oczach. Nagle na czoło gromady wysunął się znajomy Lalinka.

- Lubisz się ganiać, co? – zapytał bez nienawiści.
- Ja..., ja... po prostu – jękał Chłopiec.
- Nie wstyd ci spychać te małe Zające w przepaść? – to był stanowczy głos Lalinka ukrywającego się za tłumem. – To okrutne, nie sądzisz? Chłopiec milczał. Pochylił tylko głowę i oparł ją na rękach. Wyglądał na załamane. Wy także dostrzeżlibyście, że między palcami jego dłoni płyną mokre strużki. „To ja strzelałem do nich z niewidzialnej procy” – przyznał w duchu Chłopiec i zrobiło mu się okropnie żal tych wszystkich Zające, które ścigał i dopadał bardzo z siebie zadowolony. A przecież nie musiał strącać ich do przepaści. W dodatku śniły mu się te pogonie, męczyły po nocach. Zerknął na biały tłum. Naprawdę aż tyle ich spadło z murku? „Już nigdy nie będę się tak bawił” – zdecydował.
- Lalinek przyglądał się uważnie Chłopcu. Zrobiło mu się go żal.
- No, już dobrze – wtrącił łagodnie, wciąż pozostając niewidzialnym aktorem spektaklu. – Umówmy się, że ta przepaść już więcej Zające nie pomieści, dobrze? – odgadywał myśli Chłopca.
- Hurr! – radośnie zapiszczał tłum woreczków i krewniaków.
- Zgoda, co nie? – Zając, znajomy Lalinka, chciał mieć ostatnie słowo. Podskakiwał tak wysoko, że o mały włos a poszybowałby wysoko poza granicę gry.
- Przebaczyście mi? – zapytał z nadzieją Chłopiec.
- Jasne – pospieszył z odpowiedzią Zając. – To co, może się teraz poganiamy? – zaproponował.



## Spotkanie z Lalinką

W powrotnej drodze Lalinek znów wpadł w gęstą zamieć. Tym razem radził sobie z jedynekami i zerami o wiele śmieiej. Poza tym wiedział, że zawieja wkrótce się skończy i znajdzie się wśród przyjaciół. Ta myśl dodawała mu odwagi i cierpliwości. „Ależ gapa ze mnie. Szkoda, że nie poszukałem w tej grze mojego KLUCZA DO SPRAWY. Może tam był?” – zastanawiał się, opędzając od ostrych haczyków.

Nagle uderzył w coś twardego i to go zatrzymało. Nie było to biurko Chłopca, skąd wystartował. To była dziwna bryła naszpikowana jedynekami i zerami. Dotknął jej. Kolce kłuły go jak szpilki kaktusa. Przypominała nieco gniazdo szerszeni. Już miał rzucić się ponownie w wir zadymki, kiedy z wnętrza bryły dobiegł go niewyraźny głos: „Kto tam?”.

Lalinek oniemiał. Wszystkiego mógł się spodziewać, ale nie tego, że ta kłująca bryła jest klatką. Kto może być w środku? Głos z wnętrza ponownie zapytał: „Kto tam?”. Brzmiał cienko i delikatnie. Jednocześnie między kolcami wysunęła się ręka. Lalinek, przytrzymując się wystających zer i uważając na jedyneki, które wyglądały teraz jak harpuny, dotarł do niej. Zawieja próbowała wkręcić go w biały wir, ale on odważnie rozchylił ścianę klatki. Zobaczył małą, dygocącą z zimna Lalinkę. Nogi owinęła w kapotkę. W jej włosach sterczały zlodowaciałe pęki kwiatów. Buzię pokrywała szadz. „Co ona tu robi” – zdziwił się Lalinek. Ale

nie było już czasu na domysły. Bez słowa wyciągnął do niej rękę. Lalinka podniosła się z trudem i pozwoliła mu się objąć. Za chwilę ogarnął ich śnieżny podmuch. Trzymając się mocno za ręce dwoje wędrowców z Lalanii przemierzało białą, wrogą przestrzeń.

Zamieć wyrzuciła ich na brzeg biurka w pokoju Chłopca.

Lalinka od razu przysiadła za kubkiem pełnym flamastrów. Była bardzo osłabiona. Lalinek nie mógł nie popatrzeć na Chłopca. Nie wyobrażacie sobie, jaki był odmieniony. Śmiał się do rozpuku. Lalinek zerknął na ekran. Czego te Zające wraz ze swymi krewniakami w białych woreczkach nie wyprawiały?! Fikały koziołki, robiły piramidy jak w cyrku, stawały na uszach, słowem, wyczyniały istne brewerie. Chichotały razem z Chłopcem. Któryś woreczek rzucił:

– Pobawmy się w chowanego!

– Jasne! – zgodził się z ochotą Chłopiec i zaiskrzyły mu się oczy. – Ja szukam.

Lalinek uśmiechnął się. „Ciekawe, co by było, gdyby to Chłopiec musiał się schować?”. Zastanowiło go pytanie: Czy Zające wyruszyłyby przez zamieć, aby znaleźć się za granicą gry? „Muszę o to zapytać Szczura” – postanowił. Przypomniawszy sobie o Lalince. Właśnie zasypiała za kalkulatorem. Oparta o flamaster wyglądała jak gałązka jaśminu, którą ktoś zapomniał włożyć do wazonu.

Lalinek był oszołomiony. Nie spodziewał się spotkać w czasie swojej wyprawy po KLUCZ rodaczki z Lalanii. Gdyby to jeszcze był któryś ze szkolnych kolegów. Tych, z którymi woził się na skrzydłach motyli i podstawiał nogę stonogom... Teraz z pewnością obmyśliliby razem jakiś świetny plan. Ale to była ona. Lalinka. I w dodatku zamrożona. Postanowił jednak być rycerski, wziął ją na rękę i zaniósł do windy. Tam czekał Szczur.

– No, mój kochany, nie zostawia się tak przyjaciół bez słowa – upomniał surowo Lalinka. Okulary zaparowały mu mlecznobiałą rosą. Sapał poirytowany. – Nie wiedzieliśmy, gdzie przepadłeś.

Przyfrunęła Ćma.

– Lali, łobuziaku, myślałam, że serce mi pęknie ze strachu o ciebie. O, jak mi bije. Zleciałam cały dom, aż skrzydła mnie rozbolały. A ty



gdzie byłeś, co? – zatrzepała. Jeszcze kipiała w niej złość, ale już przegrywała z radością, że wrócił. – A to kto? – zwróciła uwagę na Lalinkę. Zaintrygowana ją ta mała zmarznięta na kość istota.

Lalinkowi było przykro z powodu samodzielnej wyprawy.

– Przepraszam – powiedział, kiedy Ćma już się wyburzyła. – Myślałem, że to jedna chwilka.

Opowiedział przyjaciółom, co widział za granicą gry i jak znalazł Lalinkę.

– Ależ natychmiast musimy ją odmrozić – przerwała mu Ćma już całkiem udobruchana. – Najlepiej pochuchać.

Chuchali wszyscy: Lalinek, Szczur, Ćma, a nawet Kornik. Mól – ze względu na astmę – rozczesywał Lalince włosy. Lalinka w końcu poróżnowiała, a jaśminowe płatki na jej głowie nabrały świeżości.

– Gdzie ja jestem? – zapytała głosem cieniutkim jak jedwabna nitka.

Lalinek chrząknął i przedstawił jej przyjaciół. Powiedział też o celu wyprawy do Kraju Człowieka. Lalinka roześmiała się. Ona także wyruszyła z Lalanii po swój KLUCZ DO SPRAWY. Wyruszyła z jaśminowej polanki w pobliżu rezydencji Kudłatego. I ona także postanowiła zająć się do gry. Ale tam zatrzymała ją zamieć. Nie miała siły z nią walczyć. Ostre haczyki obezwładniły ją, potem oblepiły kółka... Zamieć zamknęła ją w klatce.

– Gdyby nie ty... – popatrzyła na Lalinkę z wdzięcznością. – A teraz znów będę mogła szukać swojego KLUCZA.

Lalinek zerknął na jaśminową znajkę. Czuł pewien niepokój. Nowa towarzysząca wyprawy ciekawiła go i drażniła jednocześnie. Teraz będzie musiał się nią opiekować. Może trzymać za rączkę, żeby się nie potknęła, co? Albo oprowadzać po domu jak jakiegoś dzidziusia? Albo nawlekać dla niej korale z jarzębiny? Burza myśli szalała w jego głowie. Czego by jednak o niej nie powiedzieć, zawsze to przecież ktoś z Lalanii.





## Bambosze pani Bladej

Lalinka wypoczywała pod opieką Ćmy. Lalinek pobiegł do pracowni Szczura, żeby opowiedzieć Chickenowi o ostatniej przygodzie. Chicken dławił się jeszcze na myśl o truciźnie, ale powoli wracała mu jasność umysłu.

– A ta Lalinka jest podobna do ciebie? – dopytywał się ciekaw wszystkiego, co działo się w czasie ostatnich dni. Był jeszcze rekonwalescentem, szybko więc wrócił do drzemki w kuchence.

Szczur odwiedził Chłopca. Na własne oczy chciał sprawdzić, jak się miewa. Zastał go przy komputerze. Chłopiec przekomarzał się z Zającami. Szczur z przyjemnością podsłuchiwał spod dywanu ich żarciki.

Wieczorem zwołali naradę w windzie. Szczur postanowił wznowić poszukiwania KLUCZA DO SPRAWY.

– Ty też będziesz mogła szukać swojego – powiedział i pogładził Lalinkę po rozwichrzonych płatkach jaśminu.

Nazajutrz, kiedy winda rozpoczęła rajd po piętrach, byli już gotowi do drogi. „Ona wcale nie wymaga, żeby ją niańczyć. Nie potyka się, nie gubi, nie płacze ze strachu przed pasażerami windy. Jest całkiem... do rzeczy” – stwierdził ze zdziwieniem Lalinek, patrząc, jak ich nowa towarzyszka przygód biega po korytarzach domu.

Mijały dni, malała góra pięter do zdobycia.

Na sto dziesiątym mieszkała pani Błada. Przemykała do windy cicho jak Mysz. W windzie patrzyła na czubki swoich aksamitnych bucików. Mieszkała z Sardynką. Gdyby nie ta Kotka, pani Błada nie wychodziłaby tak często z domu. Ale Sardynka musiała mieć świeże mleko na śniadanie. Pani Błada po prostu wstydziła się ludzi. Wiecie, dlaczego? Otóż jej gęste włosy były dwukolorowe. Dokładnie jedna połowa głowy lśniła kruczą czernią, a druga była biała jak śmietana. Granicę stanowił przedziałek równo dzielący dwie połówki. Kornik opowiadał, że jeszcze nie tak dawno różnicę między kolorami widać było zaledwie nad lewym uchem. W szybkim tempie jednak biel zdobywała nowe terytoria. Dlatego pani Błada nie szła, ale przemykała ze spuszczoną głową. Bała się podnieść wzrok ze strachu przed docinkami. Nie widziała ani przechodniów, ani niebieskiego nieba, ani zielonych drzew. Tyle miłych spacerów ją ominęło...

Pani Błada miała w niedalekiej okolicy trzy kuzynki. Mieszkały ze Starowinką. Starowinka była niemal ślepa ze starości. Zwykle siedziała w wiklinowym fotelu i robiła na drutach. Mówiła do siebie, że robi je na pamięć. Bardzo pragnęła czasami uciąć sobie pogawędkę z młodymi kuzynkami, ale one przyfruwały i odfruwały goniąc własne sprawy. Na pociechę zostawiały jej zapasy włóczki. Włóczka była szarobura jak gradowa chmura. Starowinka robiła z niej bambosze z pomponami. Kuzynki zmyślały, że włóczka jest żółta albo niebieska, albo czerwona. Dlaczego zmyślały – nie wiadomo. I odfruwały.

Bambosze, które robiła Starowinka, kuzynki dawały w prezencie pani Bładej. Z okazji urodzin albo świąt, albo początku wiosny. Same obdarowywały się koronkowymi żabotami, broszami z ziarenek wytrawionego żarem pustynnego piasku, zapinkami podobnymi do motyli.

A pani Błada miała już tyle bamboszy, że nie mieściły się w szufladach komody. Pewnego dnia zaczęła pruć te szarobure zapasy. Postanowiła zrobić z nich ubranka dla swoich mebli. Wkrótce wszystkie fotele i kanapy, krzesła i łóżko z czereśniowego drewna ubrane były w skarpety z pomponami.

Nic dziwnego, że dni pani Bładej były szarobure. Sama też zszarzała. Nawet jej oczy, niegdyś niebieskie, posiwiały i od dawna nie pojawiało

się w nich żadne radosne światełko. Po szarych dniach przychodziły szare noce, a każdej z nich przybywało na głowie pani Bładej kilka białych włosów.

Sardynkę denerwowała ta wszechobecna szarość. „Jeśli ona zrobi w końcu i dla mnie to włóczkowe paskudztwo, wyniosę się na dach” – wygrażała w duchu i stawiała bojowo ogon.

Lalinka wzdychała, patrząc na panią Bładą. Dostrzegła pod żyrandolem rój smutków. Pamiętała podobny z rodzinnego domu w krzaku jaśminu. Pewnego razu przysiadł nad jej głowę, kiedy szykowała się do snu i wcale nie chciał odlecieć. Pamięta, że się nawet rozplakała. Wtedy mama i tata podmuchali chwilę i rój uciekł. „Spróbuję podmuchać na ten” – zdecydowała. Ale nic nie wskórała. Poprosiła przyjaciół, żeby dmuchali razem z nią. Bezskutecznie.

Tego wieczora Lalinka poczuła się źle. Kręciło jej się w głowie.

– Zmęczyła się nasza mała poszukiwaczka – stwierdził Szczur. Lalinkę dostrzegł jednak, jak badawczo popatrzył Lalince w oczy. Potem posmutniał.





## Po ratunek

Nazajutrz było z Lalinką jeszcze gorzej. Płatki jaśminu zwiędły w jej włosach. Gubiła oddech. Leżała w windzie za półką na zakupy cicho, jakby jej nie było. Szczur z Molem przewertowali całe naukowe archiwum – o chorobie Lalinki nie było tam ani słowa. Radzili się Spokojnego Snu. Sen tylko pokręcił głową z rezygnacją.

– Może to sprawka zamieci? – zastanawiał się.

Szczur także podejrzewał, że to jakiś nieznany wirus, który przyplątał się do Lalinki, kiedy więziła ją klatka w pokoju Chłopca.

– Dziwne, doprawdy – tarł machinalnie czoło, rozmyślając nad ratunkiem. – Biedactwo. Nawet nie zdążyliśmy się lepiej poznać.

Wszyscy martwili się.

Lalinek miał wyrzuty sumienia, że potraktował nową poszukiwaczkę jak rozpieszczoną lalkę, wokół której ma się kręcić cały świat. Jakże się pomylił! Chciał jej to teraz wynagrodzić. Przesiadywał przy niej godzinami i opowiadał wszystkie przygody, jakie przeżyli z Chickem. Wieczorami oglądali tańce Ćmy.

Ćma wzbiła się na wyżyny sztuki i tańczyła tak pięknie, jak za czasów scenicznych triumfów. Poza tym doglądała Lalinki co dnia, a nie było na świecie, wierzcie mi, czulszej niani.

Kornik wyrzeźbił dla Lalinki serce z drewna. Mól recytował jej najśmieszniejsze wierszyki.

Szczur gdzieś znikł. Nie było go pięć dni. Wrócił strudzony, głodny, z rozbitymi okularami. W poszukiwaniu ratunku dla Lalinki udał się nawet na nabrzeże. W zaułku niedaleko starego kutra mieszkała Wydra. Wszystkie pokiereszowane w portowych walkach zabijaki leczyły u niej rany. Wydra odkryła moc pewnych wodorostów, których gnijący zapach przyprawiał o zawrót głowy. Śmierdziały, ale niejednemu pozwoliły wylizać się z choroby. Szczur wracał ze słoikiem wodorostów tak szczęśliwy, że zapomniał o ostrożności. Dostał się w sam środek jakiejś bijatyki między włóczęgami i omal nie stracił okularów.

Teraz wszyscy z nabożeństwem wpatrywali się w zgniłozieloną zawartość słoika. Lalinka patrzyła wielkimi zdziwionymi oczami, ale biedactwo nie mogło już mówić ze słabości. Wodorosty służyły do okładów. Ćma, zasłaniając swój artystyczny nos, obłożyła nimi całe wątle ciało Lalinki. Szczur bardzo przejęty chodził w tę i z powrotem. On też spodziewał się, że obrzydlistwo od Wydry dokona cudu.

Nie pomogło. Lalinka nikała w oczach.

Lalinkowi pozostało jeszcze kilka pięt do zdobycia, ale machnął na to ręką. W końcu ważniejsza niż góra była choroba Lalinki. Zapomniał o KLUCZU, którego szukał tak długo i bez którego nie chciał pokazać się w domu.





## Śmiech i łzy

**K**tóregoś dnia wynieśli chorą na trawnik. Za nosze posłużyła znaleziona w windzie kartka z notesu. Wiatr motał nitki babiego lata. Niebo wypłowieła już z letniego błękitu zwiastowało bliskie szarugi. Od rzeki dochodziła woń zbutwiałych liści, które gubiły nadbrzeżne czeremchy. W świetle dnia Lalinek zobaczył wyraźnie, że Lalinka stała się niemal całkiem przezroczysta. Jak cienka tafelka lodu, która na dodatek wciąż topnieje. Przeraził się.

– Nie chcę, żebyś znikła – rozplakał się żałośnie. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy w życiu. Czuł się całkowicie bezradny i zagubiony. Nie pojmował, dlaczego znikanie zabiera właśnie Lalinkę.

Szczur myślał i myślał, ale nie mógł znaleźć słów pocieszenia dla Lalinka. Jego także opanował żal.

– Jedno jest pewne, Lali, nie mamy na to żadnego wpływu – wyszeptał bardzo wzruszony.

Kiedy Lalinek wraz ze Szczurem wnieśli Lalinkę na jej papierowym łożu do windy, Kornik przywitał ich niezwykle podniecony. Przed godziną był świadkiem niecodziennego wydarzenia. Zamierzał je opowiedzieć przyjaciołom. Ponieważ od dawna nie występował z przemówieniem publicznie, jąkał się na początku, sapał, aż wreszcie wykrztusił:

– Akurat wypoczywałem na mojej ramie, kiedy na sto dziesiątym piętrze wsiadła pani Błada. Nie wyobrażacie sobie nawet, co ze sobą

niosła. Wór pełen włóczki! Mówię wam, bardziej trzęsienia ziemi bym się spodziewał niż tego, że pani Błada wyniesie z domu swoją szarzynę. A to był naprawdę wielki wór. Musiała upychać go cały ranek.

Słuchacze ożywili się. Wydawało im się nawet, że Lalinka delikatnie poruszyła się na swojej białej kartce.

– A cóż to się stało? – zatrzepotała Ćma, którą opowiadanie Kornika wyrwało z drzemki. Korzystając z nieobecności podopiecznej odsypiała noc.

– Nie przerywaj mi, kochana, chyba wiesz, jak łatwo się peszę – poprosił uprzejmie Kornik i wrócił do opowieści. – I z tym worem pani Błada wyszła na ulicę. Naprawdę, widziałem na własne oczy, jak dźwigała go na śmietnisko. Nie wytrzymałem i zaraz odwiedziłem Sardynekę, żeby zasięgnąć języka. Ale Sardyńska nie była w stanie spokojnie wyjaśnić mi, co się stało, bo właśnie rozsadzała ją energia. Szalała z resztkami włóczki. Czepiała się firanek, huśtała na żyrandolu, stawała na ogonie. No mówię wam, dostała bzika. Kiedy wreszcie zatrzymała się, żeby odetchnąć, opowiedziała mi, co się wydarzyło.

A opowiadała tak:

„Miałam już dość szarzyny. Jeszcze dzień, myślałam, a sama zbudzę się w burym futrze. Nawet poranne mleko szarzało mi w oczach. Doszło nawet do tego, że pewnego popołudnia ciemna chmura wisząca niedaleko naszych okien zaczęła rozsnuwać się na kawałki i niektóre z nich wpadły do jadalni. A to już był szczyt wszystkiego!

Pani Bładej akurat nie było w domu. Poszła do apteki po krople na pogodę. Pomyślałam: »Muszę coś z tym fantem zrobić«.

Nagle zaświtał mi w głowie pomysł: spruję ten szary świat! No i sprułam. Sprułam wszystkie bambosze i skarpety z pomponami. I wiesz, co? Usłyszałam, jak meble oddychają z ulgą. Komoda aż zapiąta ze szczęścia, że wreszcie przestanie się przegrzewać i pozbędzie się nieustannego potu, który psuł jej gładką politurę. Ale potem przestraszyłam się, że pani Bładej żal będzie tych szarych dni i nocy, bo dziergała je przecież latami. Schowałam się pod fotel i czekam. A wraz ze mną góra włóczki do samego sufitu. »No nic. Najwyżej wyniosę się na

dach« – pocieszam się. W końcu słyszę trzask. To drzwi windy. Drugi trzask. To drzwi mieszkania. Kroki.

Już zwijam się w kłębek, żeby mnie pani Błada nie spostrzegła, kiedy słyszę coś niesłychanego. Coś naprawdę niezwykłego. Słyszę śmiech. Wyglądam ostrożnie zza nogi fotela: pani Błada śmieje się tak głośno, że aż dźwięczą kryształowe sopolki u żyrandola. Śmieje się, trzymając za brzuch. Śmieje się do łez.

Zatkało mnie. Przez moment myślałam nawet, że to z rozpaczy. Ale nie! Ona śmiała się naprawdę. W końcu, kiedy już wyśmiała z siebie wszystkie perły śmiechu, zawołała mnie. Byłam w takim szoku, że wyszłabym nawet na wołanie Hycła. Pani Błada spojrzała na mnie z powagą i... znów wybuchła kaskadą, tym razem chichotu. I wie pan co, panie Kornik? Wyglądała nawet całkiem młodo i ładnie.

Ja czekałam pokornie na burzę i już w myślach pakowałam walizki, a ona, proszę pana, na to tak: »Wierz mi, Sardynko, że ja nigdy bym się na to nie zdobyła. Tak się przyzwyczaiłam do mojej burości, że nie wyobrażałam sobie innych kolorów w pobliżu. Kawał dobrej roboty, moja ty mądra Sardynko!«. Naprawdę tak powiedziała: »moja ty mądra Sardynko«. »Teraz mogę zacząć wszystko od nowa – mówiła dalej. – Już nie będę liczyć moich białych włosów rankami. Ani dziergać bamboszy. Obiecuję. Precz z szarzyzną! Będę się śmiać i chodzić na spacer.«

Aż przysiadłam na ogonie z wrażenia. A ona przyniosła ze spiżarni wór i upchnęłyśmy w nim burą górę. »Przepadnijcie, szarobure godziny, raz na zawsze – powiedziała pani Błada, zawiązując go czarną akksamitką. – Skończycie na śmietniku!«.

– No i, kochani moi – kontynuował swą opowieść Kornik – zobaczyłem ją z tym worem w windzie. Byłem ciekaw, z jaką miną pani Błada będzie wracać do domu. Wyobraźcie sobie, że wesoło podśpiewywała. W pewnej chwili zerknęła w lustro – więc widziałem z bliska jej twarz – i powiedziała bardzo wyraźnie do swojego odbicia: „Myślałaś, że tylko tobie tak dziwnie bieleją włosy? Nieprawda. Przed chwilą widziałam wielu przechodniów takich samych jak ty”.

– Po raz pierwszy od lat podniosła głowę do góry – ucieszyła się Ćma i cmoknęła Kornika w czoło.

Jednak tylko przez krótką chwilę Lalinek i jego przyjaciele cieszyli się historią pani Bładej. Na białej kartce już prawie wcale nie było Lalinki. Myśleli, że coś zaprószyło im oczy i dlatego słabiej widzą. Tarli powieki i tarli. Niestety, po Lalince został jedynie ledwo widoczny kontur.



## Klucz

T ej nocy nikt nie spał. Wszyscy czuwali przy białej kartce. Ćma służyła za chłodzący wachlarz. Mól wciąż otwierał szare komórki, łudząc się, że może znajdzie wzór na powrót z zanikania.

– Profesorze, to niemożliwe, żeby go nie było – pocieszał Szczura, który postarzał się bardzo ostatniego lata.

Lalinek przypominał sobie wszystkie przygody, jakie spotkały go w Kraju Człowieka. Przypominał sobie o KLUCZU DO SPRAWY.

– Może gdybym go znalazł, wiedziałbym, jak zatrzymać Lalinkę – gryzł się. – A tak? Chyba jestem zwykłym nieudacznikiem.

Kiedy tak pomyślał, przed oczami stanęli mu wszyscy jego przyjaciele: Mucha, Chicken, Szczur, Mól, Kornik, Ćma. I ci, którzy przynajmniej na chwilę pojawili się na ścieżce jego wędrówki: Sroka, Nornice, Kret, Gawron. Od wszystkich doświadczył życzliwości. Przecież oni także pomagali mu w poszukiwaniach. I nic z tego... Był przybity.

Wczesnym rankiem przyjaciele zanieśli białą kartkę nad rzekę i położyli na wysepce piasku. Dołączył do nich Chicken, który wreszcie doszedł do siebie po długiej rekonwalescencji.

Szczura wzywano pilnie na doroczną naradę społeczności podziemi. Uściskał Lalinka na pożegnanie.

– Pamiętaj, Lali: głowa do góry! – powiedział dobitnie. – Pamiętaj – powtórzył z naciskiem.

Na odchodnym wsunął mu do ręki papierowy zwój.

– To na pamiątkę. Mój rękopis. Może ci się przyda – szepnął mu na ucho. Przez chwilę Lalinkowi wydawało się, że Mól uśmiechnął się tajemniczo.

Szczur i Mól ruszyli powoli ku kamiennej górze, gdzie czekał na nich Kornik wraz z Ćmą. I przerwane poszukiwania sposobu na stal. Starzec posunął się tak bardzo, że z trudnością włókł za sobą łapę zranioną niegdyś przez gilotynę. Dawał mu się we znaki reumatyzm. Mól drepnął przy nim jak pielęgniarz, co chwilę upominając: „Uwaga na kamyczki, profesorze”.

Tuż nad wodą chłodny wiatr bawił się z mgłą i Rybitwami. Chikken rozprostował skrzydła i zagapił się na kółka, które rysowały tuż pod powierzchnią wody Ryby. Wolał nie patrzeć na białą kartkę. Lalinek spoglądał na pobliskie drzewo. Całkiem już wyłysiało. Ostatni żółty liść właśnie dał się porwać wiatrowi. Lalinek obserwował, jak podmuchy obracają nim, wzbijają w górę i zmiatają w dół. Myślał o rodzinnym sadzie.

Liść znalazł się teraz nad jego głową. Nagle miękko wylądował na piachu koło Lalinka. Był suchy, z wyraźnymi żyłkami i podkurczonymi bokami. Lalinek wziął go do ręki, myśląc, jak długo musiał się biedak opierać jesiennym deszczom i wichrom. I wtedy zwrócił uwagę na leżący obok pożółkły zwój. Pachniał piwniczną stęchlizną. Lalinek rozwinął go. Był to dziennik Szczura. Zaczął czytać pierwszą stronę:

„Dwudziestego piątego dnia trzeciej jesieni.

Dziś mijają trzy lata od czasu, kiedy straciłem moją rodzinę. I trzy lata od czasu, kiedy żeglowałem na szczyrzą wyspę wiecznego snu. Szukałem moich bliskich wszędzie. Szukałem wytrwale. Wyłem z tęsknoty. Bywały tygodnie, kiedy z rozpaczyny nie jadłem i nie piłem. Byłbym bliski samozagłady, gdyby nie NADZIEJA. To ona popędzała moje życie do przodu...”

NADZIEJA... – jeszcze raz przeczytał Lalinek. – NADZIEJA? Jak mogłem nie wiedzieć?! To ona była z nami cały czas. To mój KLUCZ! Ależ byłem ślepy. To mój KLUCZ DO SPRAWY! – wykrzyknął.

Wszystko w nim drżało z podniecenia. Nie spał kilka nocy z rzędu, ucząc się na pamięć obrazu znikającej Lalinki. A jednak, mimo zmęczenia, aż podskoczył z radości, że wreszcie znalazł to, czego szukał. Zaraz jednak znów się zasmucił. Tak bywa, że jedna połowa serca rwie się do radości, a druga płacze. Gdyby mogła się z nim cieszyć Lalinka... A tak?

Obejrzał się za siebie. Poszukał wzrokiem białej kartki. Nie było jej na piasku. Dostrzegł, jak buja wysoko nad wodą w objęciach wiatru.

Chicken tym razem gapił się na puchowe poduchy, które mgła układała tuż nad lustrem rzeki.

– Wiesz, Chicki, znalazłem KLUCZ – powiedział Lalinek bez entuzjazmu.

– No?! Znalazłeś wreszcie! Gdzie jest? Pokaż – rozgorączkował się Chicken.

– To jest NADZIEJA – wyszeptał przejęty Lalinek.

– NADZIEJA – powtórzył Chicken. – Aha... – przytaknął bezwiednie. Ale przecież niczego jeszcze nie rozumiał.

I nagle coś go olśniło – rozpostarł skrzydła, zamachał nimi, jakby chciał się wzbić w powietrze, podniósł dziób i zapiał: „Kikirykiii...”

– Lali, słyszałeś? – pytał za chwilę uradowany. – Udało mi się tak, jak staremu Kogutowi. To ja już jestem dorosły? Powiedz, Lali, naprawdę jestem? Teraz na pewno znajdę jakiś nieduży, porządny kurnik, co?

I rzucił się w taniec. Machał skrzydłami i piał. Piał i podziwiał swój prawdziwie koguci głos, który woda niosła aż na drugi brzeg.

Lalinek zamyślił się. Miał powód do radości – znalazł wreszcie swój KLUCZ DO SPRAWY. A jednak nie potrafił cieszyć się tak, jak Chicken. Ten KLUCZ trochę go onieśmielał. Przed wyprawą myślał, że znajdzie coś niezwykłego. Jakaś wielką rzecz, którą przyniesie do rodzinnego sadu, a wszyscy oniemieją z podziwu. Nic z tego. Jego KLUCZ był niewidzialny. Ale był! „Bez NADZIEI nie ma życia” – Lalinek przypomniał sobie dziennik Szczura i poczuł ulgę, że jego KLUCZ ma jednak swoje miejsce: mieszka w sercu.

– Ta NADZIEJA to właściwie jedna wielka niewiadoma – uśmiechnął się do nowego odkrycia, które korciło, żeby znów ruszyć w drogę. – Muszę to rozgryźć – zdecydował.

Chicken właśnie kręcił w powietrzu wymyślne piruety, wzniesając przy tym małą piaskową burzę.

– A wiesz, Chickie? – zawołał do niego Lalinek. Przed chwilą sam spróbował powietrznej akrobacji w stylu Chickena, aż zachlupotał w jego plecaku maminy nektar. – Ciekawe, co przyniosą z wyprawy po KLUCZ chłopaki z sadu?

*Koniec*



## *Spis treści*

Witajcie w Lalanii! .....	5
W drogę .....	11
Mucha i Pomnik Głupoty .....	15
Lot nad bestiami .....	19
W pułapce .....	23
Opowieść Chickena .....	27
Pościg .....	33
W królestwie Szczura .....	35
Chicken znów w opałach .....	43
Problem do rozgryzienia .....	45
Historia Szczura .....	47
Nowi przyjaciele .....	51
Początek poszukiwań .....	55
Duszachora czy duszasama? .....	57
Spokojny Sen .....	61
Tajemnica Chłopca .....	63
W dolinie duchów .....	65

Bunt krewniaków .....	69
Spotkanie z Lalinką .....	71
Bambosze pani Bładej .....	75
Po ratunek .....	79
Śmiech i łzy .....	81
Klucz .....	85